Nr 8
1.IX.1946 r.

TYDZIEŃ

Cena 8 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



DZISIEJSZY NUMER ZAWIERA: Felieton Jerzego Wyszomirskiego ◆ Artykuły płk. dypl. Jerzego Kirchmayera, ppłk lotn. W. Zaczkiewicza na tematy kampanii wrześniowej ◆ Reportaże: Jana Chełmickiego i Jana Brzechwy ◆ Dział informacyjny, gospodarczy, literacki, sportowy, kobiecy i t. p.

PRZEBUDZENIE WRZEŚNIOWE

Kiedy wczesnym, mglistym nieco rankiem wrześniowym przebudził mnie ryk syren i warkot samolotów, zrozumiałem, że to już wojna. Zerwałem się i zamknąłem okna. Potem wróciłem pod kołdrę i usiłowałem zasnąć jeszcze przez chwilę.

Przeciągłe nawoływania alarmowe i ponury huk motorów w niebiosach cuciły do surowo trzeźwego dnia, lecz jakiś niewiadomy instynkt ciągnął do poduszki. Spać jeszcze przez chwilę. Przez chwilę nie wiedzieć. Niech jeszcze przez chwilę będzie wczoraj. A tymczasem bezlitośnie stało się dziś.

Pierwsza, jaką sobie przypominam, reakcja na sygnał wybuchu wojny wydaje mi się dzisiaj posiadać znaczenie symboliczne.

Wrzesień — to było właśnie przebudzenie. W znaczeniu, oczywiście rozciągłym, nie mogącym się pomieścić w jednym jakimś momencie scenicznym, jak przedstawiony tutaj, jak nawet w przebiegu całego kalendarzowego września 39-go roku.

Wypadki na światowym teatrze wojennym i międzynarodowym forum polityczno - dyplomatycznym waliły w gruzy z dnia na dzień złudzenia i mity, które kształtowały naszą osobowość i nasz pogląd na świat w przeciągu lat dwudziestu. Zaskoczeni byliśmy psychicznie rozmiarami i charakterem klęski, która nie ma chyba przykładu w dziejach. Jeżeli w ciągu kilku dni okazało się, że: 1) cała nasza polityka zagraniczna nie opierała się na niczym, 2) nasza siła militarna w porównaniu do sił mocarstw, wchodzących w światową rachubę jest niemal zerem; 3) nasza pozycja w układzie międzynarodowym jest zupełnie niepodobna do tej, jakąśmy sobie wyobrażali — to mamy do czynienia z tragiczną, biorąc ją z czysto ludzkiego stanowiska, rewelacją, kiedy okazuje się, że cała właściwie rzeczywistość, na jakiej gruntowaliśmy życie i poglądy, nie była wcale rzeczywistością.

Nie zamierzam bynajmniej powrócić do ogranej już wielokrotnie płyty biadań i wyliczania popełnionych błędów oraz rzucania gorzkich oskarżeń, jakkolwiek nie uważam, żeby analiza przyczyn klęski wrześniowej została już w sposób wyczerpujący przeprowadzona. Chciałbym jednakże pokusić się o rozważenie pewnego dualizmu, z jakim zwykliśmy ustosunkowywać się do sprawy wrześniowej . Z jednej strony — słusznie — potępiamy. Z drugiej — słusznie — jesteśmy dumni.

Ale tu trzeba wtrącić pewną uwagę. Wciąż jeszcze na łamach prasy toczy się dyskusja na temat bliższych w czasie wypadków powstania warszawskiego. Dyskusja raczej jednostronna: spotykamy się z oceną dość jednolitą: tragiczny, czy zbrodniczy błąd dowództwa, bohaterstwo społeczeństwa i żołnierza.

Jeśli przyjmiemy tę ocenę w stosunku do powstania, to skłonni bylibyśmy przyłożyć analogiczną miarę do sytuacji wrześniowej. Z jednej strony łatwo i jednym tchem przyjdzie nam wyliczenie błędów politycznych i strategicznych rządu, dowództwa; z drugiej — przykładów bohaterskiego oporu żołnierza, postawy ludności, fakt zjednoczenia i bezkompromisowego ducha walki w całym narodzie. Tego rodzaju uproszczenie byłoby, moim zdaniem, błędem zasadniczym i szkodliwym w ocenie problemu wrześniowego.

Już i czas, który nastąpił bezpośrednio po klęsce, nie sprzyjał prawidłowej krytyce września, dokonywanej przez opinię polską. Różne świstki w rodzaju „Nowego Kuriera Warszawskiego", drukowane po polsku przez propagandę niemiecką, rzuciły się skwapliwie na łatwiznę, jaką było wytykanie oczywistych błędów, ujawnionych jaskrawo w świetle klęski. Trzeba powiedzieć, że i w tym wypadku, podobnie jak we wszystkich innych, skutek propagandy niemieckiej był odwrotny do zasadniczego. Krytyka niemiecka zahamowała właśnie proces krytycznej oceny przeszłości przez samo społeczeństwo polskie. Cokolwiek pochodziło od propagandy niemieckiej, było nienawistne. Cokolwiek podawała propaganda niemiecka, nie zasługiwało na wiarę. Propaganda niemiecka podkreśliła oczywiste już wówczas dla każdego Polaka błędy reżimu, który padł wraz z państwowością. Ale jednocześnie taż sama propaganda znieważała wszystko, co polskie i co nam drogie. Stało się więc tak, że odgradzając się od narzuconej brutalnie propagandy okupanta, odwracaliśmy się również od analizy spraw, które powinniśmy byli, niezależnie zupełnie od wtykanych natrętnie niemieckich „trzech groszy", ocenić sami, ku własnemu pożytkowi.

Krytykowanie tego, co wrzesień zmiótł z powierzchni ziemi, było czymś wstydliwym, czymś w złym tonie. Bo właśnie Niemcy tę kwestię chcieli wygrać w naszej opinii. Prawda, że tamto, przed wrześniem było złe, ale przecież nasze, przecież polskie. Więc... Dajmy temu spokój.

Szukaliśmy natomiast odtrutki. Pamiętam artykuł, jaki ukazał się w czasopiśmie oficerów—jeńców wojennych w pierwszą rocznicę wrześniową. Artykuł wylicza bitwy, gdzie żołnierz polski, mimo poniesionej klęski okrył się chwałą. Westerplatte, Modlin, Warszawa, Kutno, boje październikowe ostatniej, walczącej grupy gen. Kleberga. I kończy się zdaniem:... „dlatego nasza duma żołnierska nie jest dumą utraconą". I gdzieindziej, również w publikacjach i we własnej świadomości, uwypukliliśmy momenty, przynoszące nam nie hańbę, ale zaszczyt zasłużony. Słusznie. Bo wrzesień, jako tragiczny egzamin dwudziestolecia niepodległości zapisał się przecież szeregiem pierwszych wartości. Rzucone w tym czasie — (po przegranej rozgrywce politycznej) „nie" — posiadało pokrycie i znaczenie tylko dlatego, że za nim stało „nie" twarde i bezkompromisowe całego bez wyjątku narodu polskiego. Tą postawą naród nasz zdał egzamin charakteru. I jeszcze jedno, na co zbyt mało zwraca się uwagi.

Wrzesień wykazał, że w ciągu 20-lecia niepodległości nie nauczyliśmy się może wiele. Ale nauczyliśmy się jednego: właśnie — niepodległości. Jeszcze w roku 63 mieliśmy powody do biadania, że wielka masa ludowa jest w swojej większości nieprzebudzona, obojętna dla niepodległości. Jeszcze w latach I-ej wojny światowej możliwe były „orientacje" polityczne, bazujące na ugodzie z okupantem. Jeszcze nie tak dawne to czasy, kiedy „mrzonki" niepodległościowe uważane były w pewnych, dość poważnych i „trzeźwych" kołach za przywilej nieopatrznej młodości i zapalonych głów rewolucjonistów.

W roku 1939 nie było „obojętnego na sprawę narodową ludu". Był jeden naród, i ten wiedział, czym jest, czego chce. Ten fakt miał decydujące znaczenie dla straszliwych prób przyszłości.

Nakreślone tutaj uproszczenie: z jednej strony — winy polityków, winy reżimu, z drugiej — niezaprzeczone cnoty narodu byłoby przecież błędem i to błędem szkodliwym, bo zabijającym krytycyzm.

Prawda, czego innego wymaga się od męża stanu i czego innego od człowieka ulicy. Ale ostatecznie, mężowie stanu nie spadli z nieba. Nie uprawiali i nie mogli uprawiać swej polityki wbrew całości społeczeństwa, korzystając przecież z poparcia takich czy innych, ale przecież czynników tegoż społeczeństwa polskiego. Zmysł polityczny narodu, jego kultura polityczna manifestuje się nie tylko na stopniu ministerialnym, ale również na stopniu woźnego, skromnego urzędnika. Rozum polityczny narodu nie tylko ułatwia rządowi mądrą politykę, ale hamuje politykę głupią. Błędna i nieopatrzna polityka ministrów znajdowała na wielu bardzo odcinkach potwierdzenie w postępowaniu starosty, szarego urzędnika, wójta, policjanta, lub zwykłego obywatela, niemającego nic wspólnego z aparatem rządzącym.

Rządy, gabinety, mężowie stanu zmieniają się, odchodzą. Naród zostaje, i on to właśnie prowadzi swoją własną narodową politykę, choćby nawet czasowo nie miał swego rządu i suwerenności, albo też nie ma i nie prowadzi żadnej polityki, choćby nawet posiadał państwo i rząd wraz z najbardziej buńczucznymi akcesoriami.

Jeżeli jako naród, jako całość, jako każdy nauczymy się myśleć politycznie, czuć na sobie odpowiedzialność za wszystko cokolwiek się dzieje i nie będzie sytuacji tak trudnej, w której naród nie znalazłby swego miejsca i nie posiadałby znaczenia czynnika, z którym liczyć się muszą inni — nawet znacznie silniejsi.

Ale rozumu politycznego nie znajdziemy, chowając głowę pod poduszkę marzeń o przeszłości. Zdobędziemy go, mając oczy szeroko otwarte przed siebie i dokoła siebie.

M. S.

Ranek 1 września 1939 r. na pograniczu polsko - niemieckim.



Niedyskrecje polityczne

WŁOSI CHCĄ RATOWAĆ KOLONIE

Premier włoski DE GASPERI podjął się na konferencji paryskiej rozpaczliwego zadania ratowania kolonii włoskich w Afryce. Zdaje się jednak, że los tych kolonii jest przesądzony. Losy Somali są niepewne. Być może, że zostaną przyłączone do Abisynii, której część składową ongiś stanowiły, być może, że Anglia zechce coś uszczknąć z tego łupu, przynajmniej w Erytrei, by wzmocnić obronę kanału Suezkiego po ewakuacji Egiptu. Wobec Arabów libijskich natomiast Wielka Brytania zaciągnęła pewne zobowiązania, bili się oni bowiem po stronie Anglii przeciw Włochom i Niemcom. Szczególnie zasłużył się szczep Senussich. Prawdopodobne przeto jest, że po pewnym okresie zarządu powierniczego w imieniu Organizacji Narodów Zjednoczonych, Libia uzyska niepodległość.

Trudno przypuścić, aby Włochy odzyskały cokolwiek ze swego imperium kolonialnego. Włosi okazali się wprawdzie dobrymi kolonizatorami, ale zbyt gwałtownie usiłowali pozbyć się właściwych gospodarzy kolonizowanych terytoriów. Ich metody przypominały okrutne metody, stosowane przez Niemców w Kamerunie przed pierwszą wojną światową. Znane są fakty, gdy gubernator Trypolitanii marszałek Balbo, który sam później zginął w tajemniczych i podejrzanych okolicznościach, zapraszał przywódców arabskich na przeloty samolotem, z których już więcej nie wracali. Zrzucano ich po prostu na rozkaz marszałka z samolotów. Również w Abisynii pozostawili smutne wspomnienia z powodu swych okrucieństw.

Makabryczny taniec wokół trupa Mussoliniego świadczy, że znaczny odłam Włochów związany jest jeszcze silnie z faszyzmem, który sprowadził katastrofę na świat cały. Wytwarza to nieufność w stosunku do całego narodu włoskiego.

WRZESIEŃ 1939 R.



Marsz. Rydz-Śmigły, głównodowodzący armii polskiej.

I. PRZED WYBUCHEM WOJNY

Huk wrześniowych bitew, które z zawrotną szybkością przewaliły się przez Polskę, tragiczne dni, które zdały się wówczas być końcem świata, pogrom wielkich nadziei, które już w ciągu kilku pierwszych dni wojny rozwiały się jak strzępy mgły, bezbrzeżna rozpacz i żal, które głębokimi bruzdami wryły się wtenczas w nasze twarze — wszystko to dzisiaj odsunęło się od nas gdzieś daleko, bo potem przyszła stokroć gorsza masakra okupacyjna, potem gorzała Warszawa stokroć jaśniejszym pożarem niż wówczas we wrześniu i stokroć więcej ginęło ludzi bez czapek z orzełkami, bez szarż na naramiennikach, bez broni, a często bez żadnego powodu, niż owych żołnierzy wrześniowych, przez których przejeżdżały niemieckie czołgi. Ale wszystko to—wrzesień 1939 r. i okupacja a razem cała druga wojna — przeszły dla nas w tak ciężkich warunkach, że nie mieliśmy nawet możności poznania rzeczywistego przebiegu wypadków. Dopiero gdy zamilkł szczęk broni, gdy czas kładzie kojące ręce na nasze wspomnienia i coraz wyższe drzewa porastają na cmentarzach, ludzie zaczynają mówić o tym, co było. I jest o czym mówić i pisać, bo były to wypadki przełomowe nie tylko dla żyjących pokoleń polskich ale — jak widać obecnie — przełomowe w naszych dziejach.

* * *

Nie ulega wątpliwości, że zawsze od tego trzeba zacząć, że z powodu izolacji spowodowanej błędną polityką rządu, w warunkach, w jakich musieliśmy się bić, klęska była nieunikniona. Mógłby Rydz-Śmigły okazać się wodzem największego formatu, a jego dowódcy armii mogliby wyrastać ponad poziomy, mogłaby mobilizacja i koncentracja wojska zostać wykonana na czas i na czas zbudowane potężne fortyfikacje, a jednak klęska byłaby nieodwracalna. Ogólnie rozstrzygnęło o niej całkowite odosobnienie wojskowe Polski i przygniatająca przewaga przeciwnika, natomiast na polach bitew rozstrzygnęła niezmierna przewaga techniczna. Uderzenie niemieckiej dywizji pancernej przecinało w dowolnym miejscu naszą obronę jak stalowe nożyce przecinają cienką blachę. Uderzenie lotnicze pogrążało cały kraj w bezbrzeżnym chaosie i paraliżowało wszelkie działania na ziemi. Artyleria niemiecka, a zwłaszcza ciężka przeważała kilkakrotnie nad naszą



Pierwsza ofiara.



Gen. Brauchitsch, głównodowodzący armii niemieckiej.

i przechylała szalę bitwy na niemiecką korzyść tam, gdzie nie było warunków do wprowadzenia lotnictwa i broni pancernej. Jeżeli dodamy do tego, że Śmigły i jego generałowie popełnili szereg zasadniczych błędów i że w wielu wypadkach nie wytrzymali nerwowo, to nieodwracalność klęski staje się tym bardziej oczywista. Prawidłowe dowodzenie przedłużyłoby najwyżej walkę i być może pozwoliłoby na wyprowadzenie większych sił poza granice kraju.

Pomimo to przebieg działań wojennych we wrześniu 1939 r. ma dla naszego narodu niemałą wagę. **W przedwrześniowe wojsko włożyliśmy bowiem tyle najlepszego uczucia i materialnego wysiłku, że chcemy wiedzieć, co się z tym wojskiem stało, chcemy znać prawdziwy przebieg wypadków.**

* * *

Plan Śmigłego polegał na przetrzymaniu niemieckiego naporu, dopóki sojusznicze wojsko francuskie i brytyjskie nie osiągnie gotowości bojowej i nie rozpocznie działań zaczepnych. Ten najkrytyczniejszy okres całkowitego odosobnienia Polski miał trwać 14 dni. Śmigły postanowił przetrzymać kryzys w postawie obronnej i w tym celu ugrupował swe siły na t.zw. **„zasadniczej linii“**. Ta ogromna linia długości około 1600 km. składała się z trzech wielkich odcinków. Odcinek **północny** nastawiony na Prusy Wschodnie zaczynał się na zachodnich skrajach puszczy augu-

Dalszy ciąg na stronie 4-ej.

THAT IS THE QUESTION

Wiele lat temu, gdy byłem w Wilnie młodym nauczycielem literatury polskiej, wśród licznych przyjaciół Żydów miałem jednego — osobliwego. Nosił historyczne, książęce nazwisko: Lubecki. Na imię miał Izaak. Był nauczycielem judaistyki w gimnazjach żydowskich z językiem wykładowym polskim, to znaczy dawał lekcje historii i literatury żydowskiej. Wywodził się z chasydzkiego Słonima — maleńkiej Jerozolimy — sławnego z wyrobu pergaminów, używanych do spisywania na nich Tory. Pergaminy słonimskie szły nawet do Ameryki. „Ty wiesz — tłumaczył mi: — to się robi ze skórki jagnięcej, a przeważnie cielęcej, ale płód trzeba wyjąć z łona matki, zanim się urodzi, bo potem to skórka jest za gruba. Co z tym roboty! To się naciąga na specjalnej ramie, i czyści, i skrobie, i naoliwia...“ — „Zdaje się, że podobnie wyrabia się karakuły“ — mówiłem. — „Nie wiem — odpowiadał Lubecki: — ale pergamin to bardzo trudna rzecz“.

Dzięki Lubeckiemu poznałem trochę język żydowski. Nauczył mię czytać i pisać. Musiałem mu recytować bez zająknięcia alfabet: ałef, gimeł, bajs, dałet... Chciał, żebym przeczytał koniecznie w oryginale „Die Wand“, i „Kaźmierz“, i „Motke Ganef“. Nie przeczytałem tego, bo nie zgłębiłem do tyla języka, ale parę fragmentów odczytałem z nim na lekcjach, których mi udzielał z bezinteresownym zapałem. Jednakże zająłem się współczesną literaturą żydowską w przekładach: czytałem Szołem-Alejchema i Szołem-Asza, Bialika i Pereca, Opatoszu i An-skiego, i ową dziwną poetkę o przybranym imieniu Eliszewy, ową Rosjankę, co osiadła z miłości do Żydów w Palestynie i opanowała tak doskonale hebrejszczyznę, że pisała w niej piękne wiersze. Chodziłem na „Dybbuka“, gdy przyjeżdżała do Wilna „Habima“, odwiedzałem wileński teatr żydowski; co więcej: zmusiłem Lubeckiego, żeby mię wtajemniczał w hebrejszczyznę, bo chciałem koniecznie — tym razem ja, nie on — przeczytać w oryginale „Szir haszirim“ czyli salomonową „Pieśń nad pieśniami“. Lubecki znał hebrejszczyznę nawskroś, wyszedł bowiem z jeszybotu słonimskiego, ale był idyszystą czyli zwolennikiem języka żydowskiego, który my nazywaliśmy pospolicie żargonem. W hebrejczczyźnie zaś nie uznawał wymowy klasycznej-sfardyjskiej, tylko askenazyjską rozpowszechnioną wśród Żydów, zamieszkałych na ziemiach polskich i białorusko-ukraińskich. — Izaak, ucz mię po sfardyjsku — kłóciłem się z nim: — jak się czyta początek księgi „Rodzaju“: „Bereszith bara Elochim... „Tak? — Poco ci po sfardyjsku? — sprzeciwiał się Lubecki: — czytaj po askenazyjsku: „brejszis boro“. — Jego opór zniechęcił mnie do hebrejszczyzny. Z czasem ostygłem w ogóle w swych zainteresowaniach judaistycznych.

Lubecki był człowiek nieszczęśliwy. Po pierwsze, był brzydki, w okularach. Ale z brzydoty swej nie zdawał sobie sprawy. Po drugie — on, patriota żydowski i — jak byśmy powiedzieli wówczas — nacjonalista, kochał się w Polce. To było jego wielkie zmartwienie. Nie umiał sobie tego wyjaśnić. Lecz co dziwniejsza: nie umiał dostrzec, że ona go nie kocha — ona młoda i piękna studentka, że szydzi z niego. Jego dręczyła inna troska: co by się stało, gdyby się z nią ożenił, albowiem był przekonany, że mu nie odmówi ręki i serca — jemu profesorowi i tak bardzo uczonemu. W poufnych rozmowach ze mną o swej miłości, nucił popularną wówczas „Rebekę“: „Ten gwałt, ten szum — ja sobie wyobrażam, Boże mój! Na rynku cały tłum, a na niej lśni weselny biały strój...“ Przerywał i mówił, kiwając głową: — Rzeczywiście, co za gwałt powstałby w Słonimie! Lubecki, syn starego Lubeckiego, żeni się z goimką! Nie, to niemożliwe. — Ale miłość bywa silna jak śmierć. Śliczna panna z pogardą pokazała drzwi Lubeckiemu, gdy po ciężkiej walce wewnętrznej oświadczył się o nią, proponując dwoiste rozwiązanie sprawy wyznaniowej: albo ona przejdzie na mozaizm, albo — ostatecznie — on gotów przyjąć chrześcijaństwo. Odtrącony Lubecki odszedł i otruł się weronalem.

Obcym był mi zawsze nacjonalizm i szowinizm. Tak mię wychowano w domu od dziecka. Wpajano we mnie zasadę, że miłość do swego narodu i do swego kraju winna być fundamentem, na którym się wznosi miłość ludzkości. A że mój naród za czasów dzieciństwa mego był ujarzmiony i żył tęsknotą do wolności, tym bardziej nakazywano mi być przyjacielem tych co tęsknią a są krzywdzeni, uciskani lub prześladowani. Przyjaźni z Lubeckim zawdzięczam głębsze zrozumienie Żydów, aczkolwiek obcowanie z nim odsłoniło przede mną i ujemne cechy ich charakteru narodowego. Z myślą o biednym Lubeckim pisywałem potem swe niektóre artykuły o Żydach, np. ów p. t. „Moja judaistyka“, przedrukowywany przez prasę żydowską („Chwila“, „Nasz Przegląd“, „Nowa Opinia“), lub „Reminiscencje i skojarzenia“ w „Wiadomościach Literackich“, gdy ogłaszały one wśród literatów polskich ankietę w sprawie żydowskiej.

Czemu mi się to wszystko przypomina? Czemu nawiedza mnie duch Lubeckiego? Nie wiem. Reminiscencje i skojarzenia... Wędrując pewnego dnia niektórymi ulicami Łodzi, usłyszałem znowu język żydowski, przez lata wojny nie słyszany. Prowadziłem o nim nieraz dysputy z Lubeckim. — Izaak — pytałem: — dlaczego ty i wy idyszyści pielęgnujecie ten język? Przecież w łonie samego żydostwa jest wielki odłam hebreistów, którzy nie chcą języka tego uznać za narodowy żydowski. Wasz język idysz, to skażony język niemiecki, język tych, co was w średniowieczu prześladowali, przed którymi uchodziliście do nas. Przecież nigdzie na świecie, oprócz Polski, Żydzi tym językiem nie mówią. Ty byś się nie mógł nawet rozmówić ze swym rodakiem we Francji czy w Hiszpanii, zwłaszcza, że odrzucał wymowę sfardyjską, którą się tam Żydzi posługują. Powiedz, czy nie piękniejszy jest hebrejski, język Pisma Św. i wielkości Żydów? — Lubecki kiwał głową: — Ty tego nie zrozumiesz — odpowiadał apodyktycznie, jak mistrz szkolnikowi w jeszybocie, gdy widzi, że coś przekracza zakres pojęć tamtego: — A co się tyczy żydowskiego, owszem — mówią nim Żydzi w Stanach Zjednoczonych. — Tak, ale to emigranci z Polski — zaprzeczałem -- Wszystko jedno — słyszałem w odpowiedzi.

Może istotnie nie zrozumiałbym tych spraw zawiłych. I dziś także ich nie rozumiem. Gdy myślę o Żydach, często przychodzi mi na pamięć zdanie Einsteina: „Żydzi są barometrem, wskazującym poziom moralny Europy“. Istotnie. Gdy poziom ten poczyna się chwiać i opadać ,Żydzi wychodzą na widownię, jak wychodzili nieraz w dziejach, jak zresztą ongi, w rzymskim świecie, wychodzili w podobnych momentach na widownię chrześcijanie. I jeśli o chrześcijanach mówiono, że krew jest ich nasieniem, to samo mogą powtarzać o sobie Żydzi, żyją oni bowiem — jak niewiele narodów na świecie (japoński, chiński) — cudowną wiarą w swoją duszę zbiorową, w Boga swego narodu. Ale przypominają mi się czasem i słowa Weiningera o tym, że „Aryjczycy“ najprawdziwsi, najbardziej „aryjscy“, „aryjskości“ swej najpewniejsi, nigdy nie bywają antysemitami; w antysemityzmie agresywnym — twierdził Weininger (sam Żyd z pochodzenia) — zawsze można dostrzec pewne właściwości żydowskie; może się to niekiedy nawet przebijać w jego fizjognomii — dowodził — chociażby krew jego była wolna od wszelkich domieszek żydowskich...

Gdzie prawda? Jaka w tym wszystkim tkwi tragiczna zagadka? Oto pytania, na które chciałbym, żeby mi ktoś mądry i dobry łagodnie, spokojnie i po ludzku odpowiedział, z jednaką beznamiętnością traktując wszystkie właściwości — dodatnie i ujemne — zarówno t. zw. „Aryjczyków“ jak i t.zw. „Semitów“. Bo ani my nie jesteśmy Aryjczykami, ani Żydzi nie są Semitami. — To tylko jakieś uprzedzenia i przesądy ludzkie. Ale kto mi to wszystko może wytłumaczyć?

Jerzy Wyszomirski

Dokończenie ze stronicy 3-ej.

stowskiej i biegł wzdłuż Biebrzy, Narwi, Bugo-Narwi i Wisły od Modlina po Brdyujście. Odcinek **zachodni** nastawiony na odparcie głównego natarcia z Rzeszy zaczynał się od Bydgoszczy i spływał ku południowi, opierając się o jeziora na zachód od Inowrocławia, górną Noteć, Wartę i Widawkę, po czym biegł nieomal wzdłuż granicy państwowej od Częstochowy po Karpaty w rejonie Żywca. Odcinek **południowy** nastawiony na odparcie niemieckich działań oskrzydlających ze Słowacji wytyczały przełęcze Karpackie od Żywca po Sanok.

W razie przełamania tej linii Śmigły zamierzał bronić się jeszcze na linii „ostatecznego oporu", czyli t. zw. linii wielkich rzek: — Biebrzy, Narwi, Bugo-Narwi, Wisły i Dunajca. Śmigły i sztab główny, nie doceniając szybkości i głębokości nowoczesnego natarcia, wyobrażali sobie, że walki na zasadniczej linii obronnej będą trwać długo i że upłynie wiele czasu, zanim dojdzie do walk na linii wielkich rzek.

Do wykonania swego planu Śmigły rozporządzał 30 dywizjami piechoty, 9 dywizjami rezerwowymi piechoty, 3 brygadami piechoty górskiej, 11 brygadami kawalerii i 2 brygadami zmotoryzowanymi. Większość tych sił przeznaczył do obsady zasadniczej linii obronnej. Były to: armia „Modlin" (gen. Przedrzymirski), „Toruń" (gen. Bortnowski), „Poznań" (gen. Kutrzeba), „Łódź" (Rómmel), „Kraków" (gen. Szylling)) i „Karpaty" (gen. Fabrycy) oraz grupy operacyjne „Narew" (gen. Młot - Fijałkowski) i „Grodno" (gen. Olszyna - Wilczyński). W odwodzie pozostała mu armia „Prusy" (gen. Dąb - Biernacki) w rejonie Tomaszów Mazowiecki — Skarżysko, korpus interwencyjny na Pomorzu (gen. Skwarczyński), grupa „Niemen" w rejonie Rożan — Małkinia, oraz kilka dywizji rezerwowych porozrzucanych na całym obszarze kraju.

Wielkimi błędami tego ugrupowania było: 1) nadmierne rozciągnięcie sił, przy którym dywizja broniła przeciętnie odcinka 4— 5 razy większego niż starczyły jej siły, 2) brak swobody manewrowania odwodami naczelnego wodza, które były przysunięte zbyt blisko do frontu, a zatem narażone na przedwczesne wciągnięcie w bitwę toczoną o zasadniczą linię obronną, 3) prawdopodobne związanie wszystkich sił polskich na dalekim przedpolu Wisły, co wobec niemieckiej przewagi ruchu mogło uniemożliwić odwrót na linię wielkich rzek. W ten sposób polski plan zawierał w sobie zbyt wielkie ryzyko. Pogłębiła go jeszcze nieszczęśliwa inicjatywa dowódców armii, którzy na milczącą zgodę Śmigłego wysunęli się tuż pod granicę polsko - niemiecką, a zatem przybliżyli się jeszcze do nieprzyjaciela.

Do tych błędów dołączyły się jeszcze błędy wynikające ze spóźnionej budowy fortyfikacyj, spóźnionej mobilizacji i koncentracji. Spowodowały to względy polityczne, ponieważ łudzono się do ostatniej chwili ze nie dojdzie do wojny oraz względy gospodarcze, ponieważ chciano utrzymać wydatki w granicach zbliżonych do przewidzianych w pokojowym budżecie państwowym. Ostatecznie wybuch wojny zastał nasze wojsko zmobilizowane w 66% a skoncentrowane w 45%. Dlatego w dniu 1.IX tylko połowa polskiego wojska mogła stawić czoło niemieckiemu natarciu.

* * *

Podstawą niemieckiego planu była chęć rozprawienia się z wojskiem polskie było głęboko oskrzydlone, jeszcze zanim rozpoczęły się działania wojenne. Umożliwiało to Niemcom na północy posiadanie Prus Wschodnich, na południu — język śląski oraz usadowienie się w Czechosłowacji.

Celem wykonania tego planu Niemcy ogołocili prawie zupełnie front za-



Położenie wyjściowe w kampanii 1939 roku.

skim zanim mocarstwa zachodnie osiągną gotowość wojenną i sprowadzenia w ten sposób wojny do jednofrontowej. Ten zamiar ułatwiła Niemcom nie tylko przewaga liczebna i techniczna ale i niezmiernie korzystny zarys granicy. On to sprawiał, że wojsko chodni i skierowali główny wysiłek przeciwko Polsce. Jedna grupa armii („Południe") pod dowództwem gen. Rundstedta w składzie trzech armij została przygotowana do uderzenia pomiędzy Karpatami a linią Wrocław — Łódź — Warszawa. Na lewym skrzydle tej grupy, a więc w kierunku na Warszawę i Radom, skupiono znaczne siły pancerne i zmotoryzowane. Druga grupa armij („Północ") pod dowództwem gen. Bocka w składzie dwóch armij została przygotowana do uderzenia z Prus Wschodnich pomiędzy środkową Wisłą, a środkowy Bug czyli na obejście Warszawy od wschodu oraz do otworzenia komunikacyj, łączących Rzeszę z Prusami Wschodnimi poprzez polski korytarz Pomorski. Całością sił dowodził na lądzie gen. płk Brauchitsch, w powietrzu m. Goering. Rozporządzali oni na ziemi około 60 dywizjami w tym około 1/4 stanowiły dywizje pancerne i zmotoryzowane, a w powietrzu około 3000 samolotów (na niespełna 400 polskich).

Ogólnie niemiecki plan polegał na związaniu i pobiciu grupą Rundstedta głównych sił polskich spodziewanych na kierunkach Warszawy i COP przy jednoczesnym obejściu ich od wschodu grupą armii Bocka.

Plan ten odpowiadał w zupełności wytworzonemu położeniu, którego najbardziej charakterystyczną cechą była niegotowość mocarstw zachodnich, o czym Niemcy byli dobrze poinformowani.

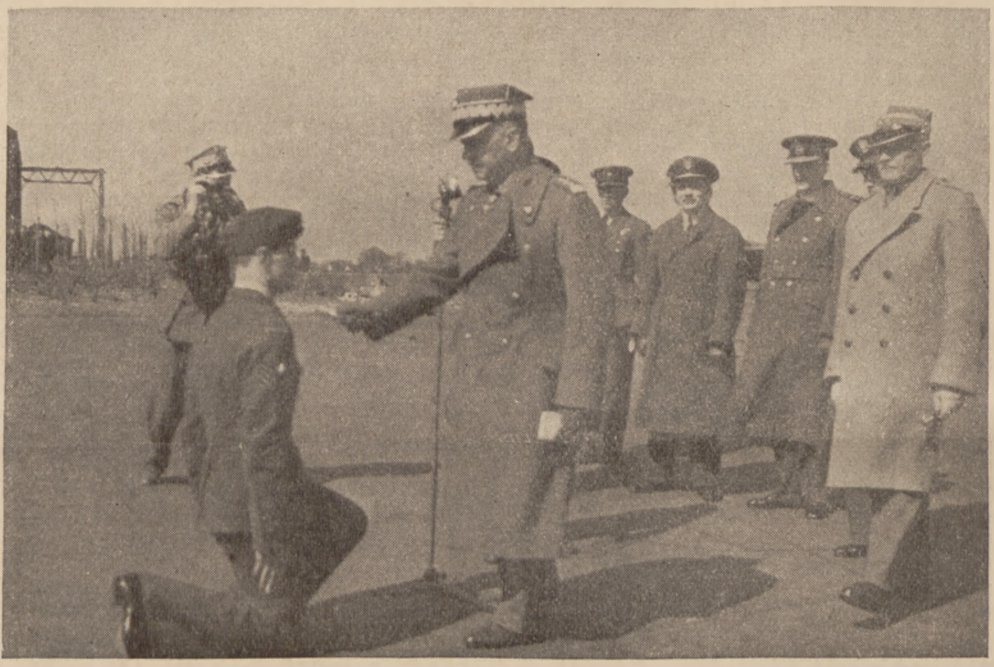
* * *

W tych warunkach niegotowe, niedozbrojone, źle dowodzone i osamotnione wojsko polskie nie miało żadnych widoków przetrzymania. Klęska była nieunikniona.

Jerzy Kirchmayer

Z ziemi polskiej do obcej

We wrześniu, 1939 r. żołnierz lotnictwa polskiego należycie wypełnił swój obowiązek w walce z najazdem hitlerowskim. krwi i bohaterstwa jego żołnierzy. Jednocześnie napiętnował tych, którzy odpowiadając za stan naszego lotnictwa i obro-



Gen. Wł. Sikorski podczas promocji lotników polskich na lotnisku w Norfolk.

Czyny wrześniowe naszego lotnictwa — jego żołnierzy z brygady pościgowej, brygady bombowej, eskadr liniowych, dyonów myśliwskich — nie skończyły się zwycięstwem. Jednakże wróg, chociaż górował nad naszym lotnictwem liczbą i sprzętem, drogo musiał płacić za swoje sukcesy. Mimo, że lotnictwo nasze po kilkudniowej nierównej walce zostało z działań wyeliminowane, naród ocenił daninę ny przeciwlotniczej państwa, swoją polityką proniemiecką spowodowali, że lotnictwo nasze w 1939 r. było nieprzygotowane do wojny. Nie rozumiał tego żołnierz, odsunięty od życia narodu. Szedł on na emigrację z myślą, by walczyć dalej. I boje żołnierzy naszego lotnictwa we Francji i w Wielkiej Brytanii — to dalsze piękne karty jego historii.

W Wielkiej Brytanii lotnictwo polskie wzrastało. Garnęli się doń zewsząd. Stany jego wzrastały. Wynoszą one:

1941 — 8634
1942 — 9738
1943 — 11495
1944 — 12565
1945 — 12749

Są to cyfry wysokie, jeśli przypomnimy sobie, że stan naszego lotnictwa przed wrześniem nie przekraczał 6000.

Żołnierze lotnictwa biją się dzielnie i wzbudzają szacunek i podziw u obcych. W pamiętnym „Battle of Britain" w 1940 r. dwa tylko polskie dyony myśliwskie 302 i 303 osiągają we wrześniu 15.47 proc. ogólnej ilości zestrzeleń, dokonanych przez R.A.F. A były dnie, kiedy ilość polskich zestrzeleń wynosiła znacznie więcej:

11 września 23 proc.
19 września 25 proc.
a 26 września aż 48 proc. wszystkich zestrzeleń.

Do dnia 1 kwietnia 1945 r. lotnictwo polskie w Wielkiej Brytanii zestrzeliło:

743 samolotów pewnych
177 samolotów prawdopodobnych
243 samolotów uszkodzonych.

Brało też ono udział w zwalczaniu broni odwetowej V I i zestrzeliło 190 latających bomb. Polskie dyony bombowe wykonały 1401 wypraw bombowych, w składzie 11.125 samolotów i zrzuciły 30.977.227 ft. bomb różnego rodzaju.

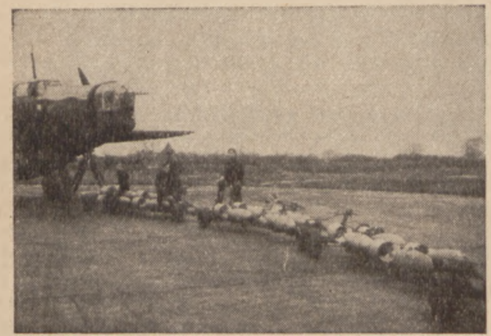
Obiektywnie musimy stwierdzić, że wysiłek to duży.

W walce tej lotnictwo polskie poniosło straty. Wyniosły one:

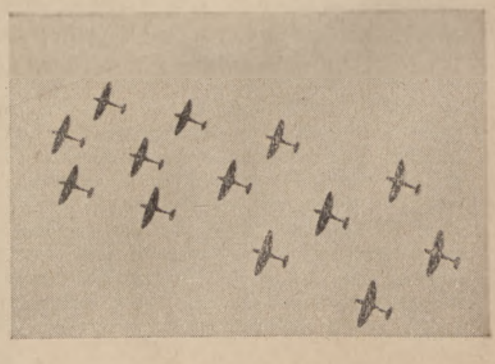
1616 zabitych,
193 zaginionych
292 wziętych do niewoli,
52 zabitych w wypadkach na ziemi,
10 zabitych przez bomby.

W. Zaczkiewicz, ppułk. lotn.

Podwieszenie bomb na Berlin



Dyon 303 w szyku



ROZGRYWKI POLITYCZNE W POLSCE I W EUROPIE

POPRZEDZAJĄCE WYBUCH DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ



Min. Józef Beck.

Gdy umierał Piłsudski w 1935 r., w stosunkach polsko-niemieckich obowiązywał pakt o nieagresji, zawarty przez ministra Becka, na wyraźne życzenie dyktatora Polski. Beck był uczniem i powiernikiem Piłsudskiego w polityce zagranicznej, toteż uchodziło za pewne, że nadal będzie kroczył drogami, nakreślonymi przez Piłsudskiego.

Nic nie zapowiadało, że się coś zmieni w polskiej polityce zagranicznej. Zarówno gabinet Walerego Sławka, jak i rząd Kościałkowskiego, utrzymywał nadal serdeczne stosunki z Niemcami. Pilnował tego Beck, który sterował polityką zagraniczną. Wszedł on, jako minister spraw zagranicznych i do rządu gen. Sławoj-Składkowskiego, utworzonego na podstawie kompromisu między prezydentem Mościckim i Rydzem-Śmigłym.

Obóz piłsudczyków, który z B.B. przemieniono w Ozon, opanowała grupa Śmigłego i Miedzińskiego. Reprezentowała ona interesy kliki i ambicje polityczne wodza naczelnego, który w międzyczasie na podstawie kompromisu z Mościckim mianowany został marszałkiem i miał być wysunięty przez Mościckiego, po ukończeniu drugiej jego kadencji prezydenckiej, na prezydenta państwa.

Kompromis przewidywał okresowe zwoływanie na Zamku specjalnej rady, w której skład wchodzili: prezydent, naczelny wódz, premier, wicepremier i minister spraw zagranicznych. Ta piątka ustalała zasady i wytyczne polityki wewnętrznej i zewnętrznej państwa, a rząd Składkowskiego wykonywał je.

Uwypuklamy te fakty, aby podkreślić, że Beck, kontynuator polityki zagranicznej Piłsudskiego, musiał się podporządkowywać decyzjom piątki. W piątce tej Mościcki, który swój wiek dojrzały spędził w Anglii i Szwajcarii, reprezentował sympatie do Zachodu i nieufność do Niemiec. Śmigły, który marzył o nowoczesnym uzbrojeniu armii i oparciu jej o przemysł wojenny, domagał się na wzmocnienie armii — pieniędzy. Gdy mu min. Kwiatkowski wytłumaczył, że Polskę nie stać na tak wielkie sumy, zaczął mówić, że pieniędzy tych należy szukać na Zachodzie — we Francji i Anglii. Cóż myślał min. Beck, przysłuchując się takim rozmowom i tendencjom w piątce?

Być może, że jego pamiętniki, które podobno ocalały, odsłonią jego grę polityczną na arenie międzynarodowej. Z posunięć, jakie w kilka miesięcy po śmierci Piłsudskiego poczynił, widać, że postanowił nie zrywać z Niemcami i dogadać się z Zachodem, przede wszystkim z Francją. Ta polityka nie była łatwa. W Paryżu nie dowierzano Beckowi, a Niemcy hitlerowskie, wykorzystując układ z Polską, zbroiły się gwałtownie i stawały się coraz butniejsze wobec sąsiadów.

Gdy Ribentropp zaprosił Becka do Berchtesgaden na rozmowę z Hitlerem, polski minister spraw zagranicznych wybrał się przed tym na kilkudniowy „odpoczynek“ na Riwierę francuską, łudząc się nadzieją, że uda mu się nawiązać rozmowy z Francuzami. Rozmowy takie przydałyby mu się wobec spotkania z Hitlerem, wzmocniłyby go w jego grze. Niestety, Paryż był nieczuły na pobyt na Riwierze polskiego gościa, toteż nie doszło do rozmów polsko-francuskich.

Dobrze o tym była poinformowana dyplomacja niemiecka, i gdy Beck przybył do Berchtesgaden, przyjęto go w „oryginalny“ sposób. Wprawdzie Hitler wyszedł na schody pałacu, aby powitać Becka, ale to, co potem nastąpiło, wskazywało, że Niemcy nie traktują Polski jako równorzędnego partnera.

Odtwórzmy w krótkości przebieg wizyty Becka w Berchtesgaden. Gdy wprowadzono go do gabinetu Hitlera, Ribentropp delikatnie ulotnił się, a Beck pozostał w cztery oczy z Hitlerem. — „Proszę spocząć, ekscelencjo“ — Hitler wskazał Beckowi fotel, sam zasiadając przy biurku.



Wizyta min. Becka w Berchtesgaden

Po chwili rozpoczął się wykład... Hitler narysował układ polityczny w Europie, określił w nim siłę Niemiec, odmalował niebezpieczeństwo Rosji i tłumaczył Beckowi, że Polska tylko przy boku Niemiec może się ostać jako państwo. Trzeba załatwić sprawę Gdańska, no i... dogodniejszej komunikacji Prus Wschodnich z Rzeszą.

Wykład trwał pół godziny. Hitler mówił, a Beck słuchał. Gdy padło ostatnie zdanie, otworzyły się drzwi do gabinetu, pojawił się Ribentropp, meldując: — „Śniadanie“. Przy śniadaniu, w którym wzięli udział dygnitarze hitlerowscy, opowiadano różne historie i dykteryjki, nie mówiło się jednak nic o sprawach polsko-niemieckich. Jedzenie było wyśmienite, ale nie szło do gardła Beckowi, który po jednostronnym wykładzie Hitlera zrozumiał, że Niemcy urosły w butę i pragną Polsce podyktować warunki.

Gdy wywiad polski ustalił, że Niemcy gwałtownie się zbroją i budują wypadowe fortyfikacje na granicy polskiej, zaniepokoił się tym mocno Rydz-Śmigły. Sprawozdanie Becka na zebraniu piątki z wizyty w Berchtesgaden powiększyło nieufność do Niemiec. Odczuto potrzebę zbliżenia się do Francji i Anglii.

Ale Francuzi, zaniepokojeni spotkaniem Becka z Hitlerem, rozpoczęli w swojej prasie atak na polskiego ministra spraw zagranicznych. Atmosfera między Polską sanacyjną a Francją pogorszyła się mocno.

Wiele trzeba było później rozmów polsko-francuskich i pośrednictwa dyplomacji angielskiej, która już wtedy rozumiała niebezpieczeństwo hitlerowskich Niemiec, zanim w stosunkach Polski i Francji, dwu krajów związanych od wielu lat sojuszem, nastąpiło odprężenie, i w następstwie nowe umowy. Rydz-Śmigły odbył podróż do Francji, rząd paryski udzielił Polsce pożyczki, za którą zaczęła się gwałtowna rozbudowa fabryk wojennych w COP-ie. Jednocześnie poniechano budowy fortyfikacji na kresach wschodnich a rozpoczęto fortyfikowanie puszczy Tucholskiej i Śląska. Powoli zaczął zarysowywać się front antyniemiecki w Polsce.

Nie zdołała temu przeszkodzić wizyta w Warszawie włoskiego ministra spraw zagranicznych Ciano, który w porozumieniu z Ribentroppem próbował namówić rząd polski na związanie się z państwami osi

Wówczas Hitler, bojąc się, aby nie za szybko powstały w Europie punkty oporu przeciwko agresywnej polityce Niemiec, uruchomił po raz pierwszy armię. Niemcy ruszyli na Austrię i przyłączyli ją do Rzeszy. Zaskoczony tym Beck doradził Śmigłemu i Mościckiemu, aby korzystając z zaangażowania się Niemiec na południowym wschodzie, zmusić Litwę do... nawiązania stosunków dyplomatycznych z Polską. Wystosowano ultimatum do Kowna i dywizje polskie dla demonstracji ruszyły w kierunku granicy litewskiej. Litwa skapitulowała ze swego kilkunastoletniego uporu i przysłała posła do Warszawy.

Obawy przed rosnącą potęgą Niemiec nie zmniejszyła wizyta warszawska naczelnego wodza litewskiego, która miała być początkiem współpracy militarnej polsko-litewskiej. Naturalnie, były to tylko pobożne życzenia, rząd litewski bowiem zbyt bał się Berlina, który odebrał mu Kłajpedę, aby rzucić się w słabe ramiona polskie.

Tymczasem po zagarnięciu Austrii, w Niemczech wzrosły apetyty na cudze ziemie. Przyszła kolej na Sudety czechosłowackie. Choć Czechosłowacja znalazła się w kleszczach niemieckich, zmobilizowała armię i obsadziła granicę. Interwencja nieprzygotowanych do wojny Anglii i Francji doprowadziła do narady monachijskiej, której rezultatem było całkowite zwycięstwo Niemiec. Sudety odeszły do Rzeszy. Francja i Anglia zgodziły się na to.

Moment ten wykorzystał Beck, Mościcki i Śmigły do wszczęcia sprawy Zaolzia. Nastąpiło ultimatum i marsz armii polskiej ku granicy czechosłowackiej, — podobna rozgrywka jak uprzednio z Litwą. Czechosłowacja skapitulowała, Zaolzie wróciło do Polski, piłsudczycy triumfowali, a w społeczeństwie polskim powstało oburzenie z powodu niewłaściwej chwili i sposobów załatwienia tej sprawy. Zresztą w społeczeństwie coraz potężniej nurtowały obawy o przyszłość Polski, spowodowane awanturniczą i agresywną postawą Niemiec.

Obawy te jeszcze wzrosły, gdy w kilka miesięcy po konferencji monachijskiej, Hitler, łamiąc umowę monachijską, obsadził wojskami niemieckimi ziemie czechosłowackie i stworzył zależne od Berlina państewko słowackie. W rządzącej piątce powstała konsternacja, triumfy z powodu Zaolzia ucichły, Beck milczał...

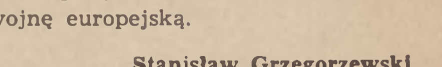
I nie wiadomo, coby się wówczas stało z Polską, gdyby się nie ruszyli zimnokrwiści Anglicy, poirytowani złamaniem przez Hitlera umowy monachijskiej. Przykładowa lekcja z Czechosłowacją pouczyła Londyn, że hitlerowskie Niemcy nie zadowolą się dotychczasowymi zdobyczami i wcześniej czy później runą na podbój całej Europy. Anglia, wyznająca zasadę równowagi sił w Europie, nie mogła do tego dopuścić. Ponieważ rząd brytyjski rozumiał, że z kolei przyjdzie atak niemiecki na Polskę, postanowił ostrzec Hitlera przez zawarcie z rządem polskim umowy, gwarantującej zachodnie granice Polski. Zaproszono Becka do Londynu, gdzie uroczyście podpisano umowę.

Beck przygaszony po obsadzeniu ziem czechosłowackich przez wojska niemieckie, wracał przez Niemcy do Polski z miną triumfatora. Sądził, że społeczeństwo uwierzy, iż umowa londyńska jest owocem jego długoletniej gry dyplomatycznej. Pomylił się jeszcze raz. W sferach niezależnych i opozycyjnych właściwie oceniono sytuację: rozumiano, że W. Brytania w imię swoich interesów wygrywa sprawę polską w walce z Niemcami. Czy było jednak inne wyjście?

Nasze stosunki z Z.S.R.R. pogorszyły się ostatnio po naszej polityce w stosunku do Czechosłowacji. Hitler, zaskoczony umową angielsko - polską, przez pewien czas milczał. Wreszcie przemówił, wypowiadając przedterminowo pakt nieagresji z Polską. Wtedy w polskich kołach politycznych i wojskowych zrozumiano, że zbliża się chwila napadu niemieckiego na Polskę. Ponieważ jednocześnie wywiad polski ustalił, że Niemcy mobilizują armię i obsadzają granicę polską, Rydz-Śmigły przesunął korpusy ku granicy północno-zachodniej i południowo-zachodniej, wzmacniając ją przez powołanie rezerwistów.

Wiosna i lato 1939 r. upłynęły na rozgrywkach dyplomatycznych i przygotowaniach wojskowych. Była to wojna nerwów. Hitler starał się zastraszyć Polskę i zmusić ją do kapitulacji. Sekundowały mu w tym Włochy Mussoliniego, udając obłudnie przyjaciela Polski. Gdy zastraszenie nie udało się, Niemcy obsadzili Gdańsk, sądząc, że tym sprowokują atak ze strony Polski. Jednak Polska za radą Anglii i Francji nie ruszyła się. Wtedy Hitler sformułował swoje żądania w stosunku do Polski, i nie czekając na odpowiedź, uderzył 1 września 1939 r. na Polskę. Zaczęła się wojna polsko-niemiecka, która w parę dni później przerodziła się w wojnę europejską.

Stanisław Grzegorzewski



(Marianne)

W BERCHTESGADEN

— Umówmy się tak panie Beck: „Pan mi odstąpi swoje prawa do Gdańska, korytarza i Kłajpedy, a ja panu odstąpię swoje do księżyca.

PRZYCZÓŁEK POD WARKĄ



Ruiny zamku w Czersku.

KRAINA CIĘŻKICH WALK

Horyzont na dolinę Wisły i jej prawy brzeg przesłaniają potężne ruiny starego zamczyska w Czersku. 600 lat temu z wyniosłych wież wojowie książąt czerskich dozorowali przepraw na Wiśle, 2 lata temu umieszczonych tam było kilka punktów obserwacyjnych artylerii niemieckiej, strąconych niejednokrotnie ogniem radzieckich dział. 5 miesięcy trwały zacięte walki nad Pilicą i Wisłą, lecz dziś na tle bogatej nadwiślańskiej zieleni ciężkie mury zamczyska rysują się tym samym konturem co przed wiekami.

W dół biegu Wisły — ku Warszawie — ciągnie się pas podmiejskich osiedli, które powróciły do normalnego życia i dają gościnę wielu mieszkańcom rozbitej Warszawy. W górę rzeki — ku Puławom, płynie koryto Wisły wąskim strumieniem, wśród pasa piaszczystych wydm, szuwarów i kęp wikliny. Szosa, wiodąca z Góry Kalwar do przeprawy na Pilicę pod Miszewem, jest szeroka, wyboista, pusta i ogołocona z drzew i słupów telegraficznych. Nieliczne osiedla i kępy drzew noszą ślady niedawnych walk. Tam, gdzie Pilica wpada do Wisły, w dolinę obu rzek wbija się ostrym klinem wysoka skarpa, wzdłuż której od sierpnia 1944 roku do połowy stycznia 1945 r. trwała zacięta obrona niemiecka. Przed wojną na stokach tych rozpościerały się nieprzejrzane obszary sadów, które zaopatrywały Warszawę w owoce; dziś gdy się jedzie wzdłuż tych alei, widać, jak strasznie poranione są drzewa, ale na nowych pędach czerwienią się już zwisające ku ziemi kiście dojrzewających jabłek.

Biegnąc w dół ku rzece, szosa staje się coraz bardziej wyboista, niedostępna, poszarpana lejami armatnich pocisków i bomb, podmyta wiosennymi rozlewiskami Wisły. Most na Pilicy zerwany. Z wysokiego wiaduktu oglądać można rozległy krajobraz. Na widnokręgu majaczy sina ściana ryczywolskich lasów, wśród których rzeka Radomka wpada do Wisły. Tutaj dwa lata temu na dwudziestokilometrowym odcinku Wisły, ograniczonym od północy Pilicą, a od południa Radomką, na 20 km. w głąb do toru kolejowego Warszawa — Radom, toczyły się przez pół roku jedne z najkrwawszych bojów obecnej wojny, na t. zw. przyczółku mostowym pod Warką.

Pierwszego sierpnia o świcie, na nieliczne oddziały niemieckie, dozorujące Wisły, spadły jak grom szturmowe jednostki artylerii radzieckiej, pod osłoną artylerii rzucone przez rzekę na rybackich łodziach i amfibiach (pływających samochodach pancernych). Było to miejsce otoczone lasami, pozbawione dogodnych komunikacji, gdzie dowództwo niemieckie nie przewidywało nigdy poważniejszej akcji przeciwnika.

W dniu wybuchu powstania warszawskiego ludność stolicy, nasłuchująca z utęsknieniem odgłosów bitwy od strony Otwocka i Radzymina, nie wiedziała, że w tym właśnie dniu bitwa o szybkie wyzwolenie stolicy rozgrywa się na przyczółku mostowym pod Warką. Szybkie opanowanie przepraw wiślanych i marsz na Magnuszew, Warkę, Grójec, odcinał grupowania wojsk niemieckich w rejonie Warszawy, a tym samym decydował o losie stolicy. Dopiero później zrozumiałe się stały dla mieszkańców przyczółka mostowego pod Warką słowa, rzucane pośpiesznie w marszu przez czerwonych tankistów: „Na Warszawu jedjem — okrużat' jejo" (na Warszawę jedziemy, okrążać ją).

Stara karczma w Magnuszewie.

Fot. J. Płażewski



Dowództwo niemieckie zorientowało się w groźnej sytuacji i rzuciło na przyczółek wszelkie rozporządzalne odwody. Jednocześnie całe lotnictwo odcinka otrzymało zadanie rozwalenia za wszelką cenę 4-ch budujących się mostów na przyczółku i sparaliżowania wszelkiego ruchu na Wiśle. Wśród kilkudniowych najkrwawszych bojów udało się Niemcom powstrzymać szybki marsz wojsk radzieckich, jednakże nie zdołali ich ścieśnić, a tym bardziej wyprzeć z powrotem na prawy brzeg Wisły. Obok wyborowych stalingradzkich dywizji walczyły tu jednostki polskiej armii.



Prowizoryczny kościół w Miszewie nad Pilicą.

Fot. J. Płażewski

Raz zdobyty przyczółek tkwił jak krwawy kolec w boku niemieckich ugrupowań. Tkwił do chwili, gdy po należytym przygotowaniu natarcia w wielkim stylu, razem z przyczółkiem sandomierskim, zmiótł w ciągu parugodzinnej bitwy niemiecką obronę i pochód zwycięskich wojsk zatrzymał się dopiero na Odrze.

...I NOWE ŻYCIE NA RUINACH KWITNIE

Bogata zieleń zatarła ślady walk, porosły trawą okopy i liczne groby poległych. Znikły natomiast strzeliste zarysy wiejskich kościołów, zabudowań i nadwiślańskiej topoli. Most na Pilicy zerwany; aby się dostać na przeciwną stronę— na przyczółek, trzeba z wiaduktu krzyczeć na cały głos i wymachiwać rękoma, a wtedy po chwili z szałasu na przeciwnym brzegu wyłoni się senna postać przewoźnika, który niby Charon poprzez Styks — przewiezie nas na ziemię zniszczenia i śmierci.

Miszew położony jest na przeciwległym brzegu Pilicy i ciągnie się około 4-ch km. wzdłuż magnuszewskiego traktu. Była tam niegdyś bogata wieś kościelna; dzisiaj pozostały rumowiska. Ludność wróciła już dawno, mieszka w maleńkich prowizorycznych domkach, skleconych z belek i pokrytych słomą, w ruinach, w ziemiankach, szałasach,... jak kto może. W sąsiednim Zakrzewie i Anielinie nie jest lepiej. Miszewiacy, mimo tak trudnych warunków, przejawiają inicjatywę: we wsi już jest kilka sklepików; na placu gdzie stał starożytny modrzewiowy kościół, ustawiono przyciągnięty zza rzeki stary barak niemiecki, wyciosano krzyż, poodkopywano chorągwie złotem haftowane i dziś, w świąteczny sierpniowy dzień, widzimy, jak z drzwi kościółka wychodzi procesja, której monotonny i smutny śpiew wplata się w opalone konary starych lip i dębów. Ludzie różnie ubrani: jedni już z miejska — odświętnie, inni obdarci jeszcze i nawet bosi.



Rodzina Fijałkowskich przed swoją „zagrodą".

Fot. J. Płażewski

Niedaleko od kościoła mieszka w tymczasowym szałasie rodzina Fijałkowskich. Obok wznosi się już żebrowanie nowej chaty, ale brak zwiezionego dalszego budulca, zczerniałe belki świadczą, że robota idzie opornie i powoli. Młody Fijałkowski mieszka z rodziną liczącą 8 osób w szałasie, i wszystko wskazuje na to, że w nim jeszcze spędzi nadchodzącą zimę. Gospodarki własnej nie miał nigdy, mieszkał na komornem za odrobek; dziś dostał z parcelacji 2 ha ziemi, więc chce się w nie mocno wgryźć i być na swoim: Zapytany, dlaczego nie chce jechać na zachód, odpowiada dumnie, że tu się urodził i tu musi się znaleźć dla niego kawałek chleba. Z żalem mówi o tych bogatszych gospodarzach, którzy uratowali swój dobytek i mieli możność zwiezienia budulca (z hrabskiego lasu).

Droga do Magnuszewa prowadzi wśród spalonych osiedli, poucinanych przez pociski starych drzew i wśród licznych tu bardzo grobów:... Stefan Góra... Jan Lewandowski... Król... Kapral Piotrowski... wszystko to chłopcy z Pierwszej Armii, którzy, odbywszy paroletnią wędrówkę po Rosji, przymaszerowali tu wśród bitew spod Lenino, aby oddać swe życie za Polskę na magnuszewskiej, nadwiślańskiej nizinie.

Magnuszew jest podobno rozbity, i o noclegu, nawet na sianie, nie ma mowy. Zobaczywszy po drodze (niby oazę) ocalałą zagrodę pod jasnym blaszanym dachem, postanawiamy tu nocować. Szczepan Dwórnik, właściciel 10-ciu ha gospodarstwa z radością godzi się na nasz nocleg. Jest rozmowny. Podczas walk był wysiedlony za Wisłę, ale dobytek i inwentarz ocalały. Kiedy wrócił niby cudem, zastał swój dom na miejscu, co prawda bez okien, bez drzwi, ale sześć par pracowitych rąk w ciągu półtora roku przywróciło już gospodarkę do kwitnącego stanu. Rzeczywiście w jego kuchni bielą się poustawiane rzędem garnki: w pokoju — zapastowana podłoga, stół pokryty obrusem, wielka lustrzana szafa, na oknach założone firanki. Pan Szczepan opowiada z dumą, jak dwa miesiące temu wyprawił swoim dzieciom „dwoiste wesele", (wydał jednocześnie córkę i syna). Dwa wieprze poszły pod nóż, jedna jałówka; 130 litrów wódki szumiało w głowach weselników, zaczyniono na ciasto metr pszennej mąki; na zbudowanej w ogrodzie podłodze tańczono bez przerwy 30 godzin w takt najmodniejszych tang i slofoksów. Pan Szczepan jest szczery, i na pytanie nasze, zdradza dość chętnie tajemnicę swego dobrobytu. Przed 40-tu laty jeden z małorolnych gospodarzy nazwiskiem Rychiert przywiózł w te strony cudowną roślinę — flance truskawek. Owoc na tamtejszej glebie świetnie się rozrastał i plonował, tak, że po kilkunastu latach prawie wszyscy okoliczni gospodarze stali się plantatorami truskawek, czerpiąc z nich, obok uprawianych tam od wieku ogórków, poważne dochody. Otóż Dwornikowi w czasie działań wojennych ocalała plantacja truskawek, i ona stała się źródłem szybkiej odbudowy jego dobrobytu.

Magnuszew rzeczywiście przedstawia obraz wielkiego zniszczenia: ocalała tylko starożytna karczma, kościół i kilka murowanych domów, wszystko oczywiście pogruchotane i połatane doraźnie deskami. Twarze mieszkańców Magnuszewa są zatroskane. Pan Romanowski, długoletni działacz w Kasie Stefczyka, prowadzi obecnie Oddział Powszechnego Banku Spółdzielczego. Rozkłada przed nami bezradnie ręce.

— Rozdzieliłem milion złotych, ale to nic, to kropla w morzu. Potrzeba sto razy więcej. Co możemy, robimy. Chodzą dwa traktory. Nieuprawianej ziemi prawie nie ma. Ale kto postawi domy? Skąd wziąć inwentarz? Tu są ludzie bardzo biedni.

Jakby ilustracją tego co mówi, widzę dwie wynędzniałe kobiety, które taszczą przez rynek na pół ociosaną belkę. Może skradły ją komuś? „Co to za „jedne" — pytam?... Mężowie ich przepadli gdzieś w czasie wojny.

Niedaleko karczmy, w ocalałym murowanym domku, mieszka nie byle kto — znany za Żelazną Bramą i po jarmarkach

„Król ogórkowy" — stary Ignacy Leszczyński.

Fot. J. Płażewski





Delegacja O. N. Z. zwiedziła wieś Nową Wolę pod Warką

Fot. Film Polski

okolicznych — król ogórkarzy polskich— pan Ignacy Leszczyński. Ogórki hoduje od 50-ciu lat; tajemnica ich uprawy przechodzi w rodzinie Leszczyńskich z ojca na syna. 67-letni p. Ignacy posiada ten sekret, że ogórki jego, na gruncie uprawiane, dochodzą zawsze o miesiąc wcześniej, niż u innych plantatorów. Stąd też cena, jaką za nie bierze, jest znacznie wyższa. Leszczyński nie zdradza swej tajemnicy. Opowiada, że umie rozróżniać ogórki — samce od samic, zna sztukę tego, by puste kwiaty zawiązywać w owoc. Nie bardzo wierzymy w jego gusła, a i jego dobrotliwy uśmiech wskazuje na to, że sam w nie nie wierzy.

Faktem jest jednak, że z niecałej morgi ziemi zebrał w tym roku około 280.000 zł. Leszczyński chytrze mruży jedno oko:— „zeby ta cyna była lepsa, to bym jesce sto tysiąców zebrał, ale po tyj cynie to się nijak nie karkuluje wozić“. — Machnął ręką zdecydowany na wszystko i groźny: — „niech pognijo na zagonie, może trochę świnioki zeźrą“.

Rzeczywiście, zagony z takim trudem uprawione, złocą się od wielkich pożółkłych na słońcu ogórków, przez nikogo niezbieranych. A przecież, gdy przyjdzie zima, będziemy musieli drogo za ogórki płacić, nawet sam pan Leszczyński nie lubi kisić ich w beczce i często zimą kupuje je w sklepiku na zakąskę pod bimber. Leszczyński ma wielkie ręce, urobione od pracy; jego plecy są zgięte w pałąk. Przerolował na nich przez 50 lat tysiące worków z ogórkami, i to tak — od własnego zagonu, aż na kupiecką wagę pod Żelazną Bramą czy na okolicznym jarmarku. Nie wierzy nikomu, nie słucha nikogo i nikogo się nigdy nie radzi. Wierzy tylko w pracę swoich rąk i swojej żony i w swój kupiecko - chłopski spryt. Podczas działań wojennych przed dwoma laty zabił mu żonę na podwórku, gdy szła z wiaderkiem podczas bitwy krowy doić, ale na nowy sezon ogórczany pan Ignacy już się postarał o nową towarzyszkę życia. Obrzuca ją teraz spokojnym spojrzeniem i mówi jakby na pół do siebie: — „nie zgorsa jest... toć psecie jej jesce nie lołem“.

SÓL ZIEMI

Opuszczamy przyczółek magnuszewski. Za chwilę przewoźnik przeprawi nas znów na drugi brzeg Pilicy. Nim przyjdzie. jeszcze raz ogarniam wzrokiem rozległy teren niedawnych walk. Wierzę głęboko, że Fijałkowski, Dwórnik, Leszczyński, kierownik Kasy Stefczyka — Romanowski, przyczynią się swą pracą, do tego, że kraj ten po kilkunastu latach powróci do dawnego dobrobytu i życie popłynie tu dawnym strumieniem. Ale widząc wszystko, co się dzieje na tej ziemi, przeoranej lemieszem wojny, szukam jakiegoś związku, jakiejś treści i sensu między tym co było, co jest i będzie.

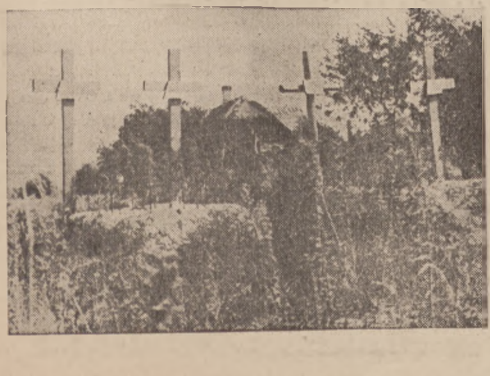
Szukam miejsca dla kawałka tej ziemi wśród innych miejsc naszego kraju, budzącego się do nowego życia, do nowych prawd, do sprawiedliwości społecznej i postępu. Zapytuję siebie: „czy tu jest właśnie ta Polska, która odnowa zaczyna się budować?“. Bo jest jasne, że najłatwiej stworzyć coś nowego tam, gdzie zastajemy równe pole, gdzie pracujemy z ludźmi, których los oderwał od dawnej rzeczywistości. Przed wojną cały ten teren był domeną wpływów hrabskiego pałacu i ludzi, którzy dokoła niego się grupowali. Oni gospodarczo byli związani z otoczeniem, oni nadawali życiu ton i kierunek. Byli zawistni, nieludzcy i wyżyci. Odeszli bez najmniejszego po sobie żalu, i ani oni, ani wpływ ich nie powinien tu nigdy powrócić. Jednak uświadomić musimy sobie realnie i mocno to, że na miejsce tamtych ludzi muszą przyjść nowi, którzy życiu nadadzą właściwy rumieniec i sens. Nie wiem: może Romanowskiemu z Banku Spółdzielczego dać odpowiednie kredyty? Zna teren, pracował w nim jeszcze przed wojną — niech ciągnie chłop robotę. Może nauczyciela ludowego, który głoduje i uczy głodujące dzieci w rozbitej szkole, uwolnić od codziennych trosk? Niech z młodym pokoleniem wysunie się na czoło. Może młodemu Fijałkowskiemu, który tak wierzy w tę ziemię i nie chce od niej odejść do gospodarstw - pałaców na Dolnym Śląsku, może jemu trzeba pomóc, i on właśnie stanie się treścią i solą tej ziemi? Może w hierarchii naszych władz administracyjnych, przeciążonych pracą biurową, trzeba stworzyć równorzędne stanowiska terenowe, obsadzone przez ludzi, którzy będą ściśle związani z biegiem codziennych wydarzeń? Może wszyscy ludzie dobrej woli znajdą drogę, na którą trzeba wejść i dalej kroczyć?

Nasuwa mi się myśl, że przyczółek pod Magnuszewem i Warką nie jest jedynym i odosobnionym skrawkiem naszej ziemi. Kilkadziesiąt km. na południe jest przecież znacznie większy przyczółek sandomierski i mam wrażenie, że tam życie przybiera podobny kształt. Myślę, że przyczółkiem w pojęciu ogólnym, w przenośni pewnej— jest każdy odcinek naszego życia, wrzynający się w naszą rzeczywistość, wpatrzoną jak w fata-morgana w obraz dnia wczorajszego.

Jan Chełmicki

Groby poległych żołnierzy polskich na przyczółku pod Warką

Fot J. Płażewski



„NOWI DEMOKRACI“ Z „WESTPREUSSEN“

(Korespondencja własna z Danii)

W obozie w Klövermarken pod Kopenhagą przebywa siedemnaście tysięcy internowanych Niemców: dziewięć tysięcy kobiet, pięć tysięcy dzieci i trzy tysiące mężczyzn. Na siedemnaście tysięcy aż dziewięćset baraków — wcale nieźle! Przypomniał mi się „mój“ obóz w Gross-Rosen, czy Mauthausen, gdzie w jednym baraku, czyli — jak ię tam mówiło — „na bloku“, stłoczonych było do tysiąca więźniów...

Obóz w Klövermarken — to fragment jednego z najpoważniejszych dla Danii problematów, jaki stanowią uchodźcy niemieccy. Problematu, dodajmy, który w Polsce zbyt mało, albo i wcale nie jest znany.

W miesiącach lutym i kwietniu pamiętnego 1945 r. na terytorium Danii, znajdującej się od 1940 r. pod niemiecką okupacją, schroniło się około 250 tysięcy uchodźców niemieckich, zbiegłych tu przed napierającą ofensywą ze wschodu. Uciekający „naród panów“ powprowadzał się do co lepszych hoteli i pensjonatów, pozajmował lokale szkół i wyższych uczelni. Objadając Danię, czekał, aż hitlerowskie hordy odniosą... ostateczne zwycięstwo. Nieomal cała ta pruska nawała, (ponad 200 tysięcy uciekinierów) pozostaje po dziś dzień w Danii. Nie zajmuje już wprawdzie luksusowych hoteli i pensjonatów, lecz siedzi skromniej — za drutami. Ale i tam stwarza małemu państwu olbrzymie trudności.

Milion koron dziennie wydajemy na wyżywienie Niemców! — skarżył się dyrektor jednego z departamentów duńskiego Ministerstwa Opieki Społecznej. — Jest ich ponad dwieście tysięcy, osadzonych w obozach. Dwieście tysięcy internowanych obcokrajowców w kraju, liczącym zaledwie, cztery miliony mieszkańców!!!

Znakomita większość internowanych Niemców — 96%, jak głosi komunikat prasowy, pochodzi... „from the Russian zone of Germany“ „From the Russian zone? Wszczałem rozmowę z włóczącymi się za nami i obłudni: uśmiechniętymi Niemcami.

— Skąd jesteście? — spytałem jednego.

— Z Ostpreussen.

— Ale z jakiego miasta?

— Allenstein...

— A ty? — zwróciłem się do drugiego.

— Pommern.

— Z jakiej miejscowości?

— Putzig...

Zapytałem jeszcze kilku. Nieomal wszyscy wymieniali, jako miejsce swego zamieszkania, różne „niemieckie“ prowincje, w rzeczywistości nasze Ziemie Zachodnie i Odzyskane. Nie powiedział ani jeden, że mieszkał w Polsce. Polski nie było dla nich wcale. Zresztą — Polski nie było też przecież i w komunikacie prasowym. Była tylko — „the Russian zone of Germany“..

Najlepszy rodzynek trafił mi się na końcu.

— Skąd pan pochodzi? — zapytałem niemieckiego bibliotekarza obozu.

— Westpreussen.

— Z jakiej miejscowości?

— Graudenz.

— Więc gdzież ten „Graudenz“ leży?

— W prowincji Westpreussen.

— Ale to jest Polska, — co?

— A tak, t e r a z to jest Polska.

Oczy bibliotekarza z ufnością i rzekłbyś dobrotliwie patrzą na mnie. Rozmowie naszej przysłuchują się bibliotekarki oraz kilku czytelników — Niemców.



„Naród panów“ za drutami w obozach duńskich.

— Zawód? — pytam dalej.

— Inżynier —

— Coś pan, w tym „Graudenz“, przed wojną robił?

— Kanalizacje, instalacje, wodociągi. Niemiec który nie wie, że jestem Polakiem, staje się naraz rozmowny. Opowiada, jakim był demokratą. Jak nienawidził łajdaka Hitlera. Jak oddawna wszystkim przepowiadał, iż Hitler wielkie nieszczęście sprowadzi na biedne Niemcy. Zaczyna gestykulować. W ferworze strąca na ziemię swoje okulary. Duński dyrektor departamentu usłużnie mu je podnosi i podaje.

— Czy mówi pan po polsku? — przerywam Niemcowi potok zwierzeń (rozmowa toczy się cały czas oczywiście po niemiecku).

— Ach, nie — odpowiada. — Przecież w Graudenz to nie było potrzebne.

Wyjąłem papierosa i zapaliłem. Zapomniałem, że na wstępie proszono nas, byśmy nie palili w obozie. Objaśniono, że Niemcy nie dostają tytoniu, przeto dym papierosów sprawia im... wielką przykrość. (Gdym później niedopałek rzucił na ziemię, jakiś młody Niemiec podbiegł szybko, podniósł go i schował do kieszeni).

O tych obozach i o całym „niemieckim zagadnieniu“ rozmawiałem z wieloma Duńczykami.

— Liczymy — mówiono mi, — że władze angielskie wyrażą w końcu zgodę, abyśmy ten balast niemiecki odesłali do jego „vaterlandu“. Intereweniujemy i to stale i będziemy interweniować — aż do skutku.

Na razie skutku jeszcze nie widać. Więcej nawet — do Szlezwigu, którego odłączenia od Niemiec Dania jak najsłuszniej się domaga, ładuje się masowo Niemców, usuniętych ostatnio z Polski i Czechosłowacji. Protesty duńskie nie dają żadnych wyników.

Dość daleko leży od nas Dania i półwysep Jutlandzki. Ale nie spuszczajmy ich z oka. Terytorium to bowiem,wbrew życzeniom autochtonicznej duńskiej ludności, staje się niespodziewanie siedliskiem zbiegłego lub wygnanego z naszych ziem prusactwa, które słowa Polska nie nauczy się nigdy inaczej wymawiać, jak tylko z musu, a wówczas z największą nienawiścią. I które nigdy marzyć nie przestanie, by wrócić do swych „praniemieckich prowincyj“.

Juliusz M. Zagórski

Z SZABLĄ I LANCĄ NA PRUSY WSCHODNIE

W dniu 2 września 1939 r., gdy byłem z plutonem na placówce w Radziłowie, otrzymałem rozkaz natychmiastowego stawienia się w m. Grabowie, położonym o kilka kilometrów od granicy pruskiej. Po przyjeździe kazano mi zameldować się we dworze. Przy małych łojówkach, gęsto rozstawionych na stole, dowódca objaśnił nam zadanie pułku, mającego natrzeć wraz z brygadą na Prusy Wschodnie. Pierwszy szwadron został wysłany jako podjazd w kierunku na m. Bialla. Rozdano nam mapy prawie całych Prus Wschodnich. Byłem dumny i uradowany, że będę należał do tych, którzy pierwsi przekroczą granicę kraju nieprzyjacielskiego.

Około północy wyruszyliśmy. W napięciu nerwów przeciągały szwadrony, wśród ciszy nocnej, przez nadgraniczne lasy, prowadzone przez znających dobrze teren strażników. Nagle: Stój! To niemiecki słup graniczny. Precz z nim! — Tu jest Polska i będzie Polska! Z głuchym trzaskiem wali się czarno-biało-czerwony znak Smętka, a spod stalowych hełmów bojowych błyszczą szczęśliwe oczy ułańskie. Przekraczamy granicę o godzinie drugiej w nocy w dniu 3 września 1939 r. Drugi szwadron, po zajęciu Kowalewen, zajmuje pozycje w lesie czołem na Spitzbergen. Nagle ze wzgórz padają strzały. Spieszamy się i idziemy do natarcia. Pierwsze gwizdy kul napawają nas radością. Niemcy wycofują się. Zajmujemy wieś Klein Brzosken. Piękne zabudowania gospodarskie opustoszały. W domach panuje nieporządek po ucieczce właścicieli. Gdzie niegdzie pozostawiono nawpół ugotowany posiłek lub przygotowane do wypieku ciasto. Na podwórzach chodzą krowy, świnie, i drób. W piwnicy jednego domu ułani znajdują starca i dwie kobiety. Starzec składa ręce i po polsku błaga o darowanie mu życia. Potem dziwi się stary Mazur, że nikt nie robi mu krzywdy. Przecież Niemcy opowiadali o strasznych okrucieństwach polskich żołnierzy! Zwalamy słup z napisami niemieckimi i niszczymy urządzenie telegraficzne. Wydano surowe rozkazy, zabraniające jakiegokolwiek rabunku. Któryś ze zbyt gorliwych oficerów, upomina ułanów zrywających owoce z drzew, aby nie łamali gałęzi. Jeden z żołnierzy starannie wypala papierosem oczy portretowi Hitlera, wiszącemu w jakimś domu nad biurkiem.

O północy szwadron otrzymuje rozkaz udania się w rejon Milewa po stronie polskiej, gdzie w lesie zajmuje stanowisko 10 p. ułanów. O godzinie trzeciej rano pluton mój dostaje zadanie ubezpieczenia natarcia 5 p. ułanów na lewym skrzydle brygady. Pułkownik objaśnia położenie własne i nieprzyjaciela. Punktem wyjściowym natarcia jest folwark Glinki. Pułk nasz ma nacierać na m. Kowalewen. Na naszym lewym skrzydle atakuje 5 p. ułanów. Na prawym — 9 p. strzelców konnych uderza na Klein Brzosken i Czyborren. Brygada suwalska ma jednocześnie uderzyć na Prusy od wschodu. Udaję się wraz z plutonem na wzgórze 214, skąd obserwuję panoramę zaczynającej się bitwy... Przede mną rozpościera się kraina Smętka. Iście „praniemieckie" miejscowości: Lyssaken, Sokollen, Czyborren, Kowalewen, Brzosken, Kossaken i t.p. Lekko pofalowany teren pokryty jest kępami lasków, jakby umyślnie pozostawionych z wyrębów. W oddali wyrastają słupki dymu. Nasz DAK zaczyna działać. Nagle w lesie po stronie polskiej następuje kilka wybuchów. To ciężka artyleria niemiecka odpowiada ze swych betonowych schronów z odległości wielu kilometrów. Prześliczny ciepły poranek. Niebo bez najmniejszej chmurki. Znów wybuch... Z



Patrol 10 p. ułanów obala niemiecki słup graniczny pod Gross Brzosken

lasu wybiega tabun koni bez jeźdźców, mknąc w przerażonym galopie przed siebie. To pocisk niemiecki uderzył w sam



Akcja Brygady Podlaskiej na Prusy Wschodnie w dniu 4 września 1939 r.

środek koniowodnych. Na prawym skrzydle 9 p. s. k. rusza do natarcia w kierunku na Klein Brzosken. Artyleria i cekaemy niemieckie walą po naszych strzelcach. Wychodzą niemieckie samochody pancerne. Natarcie załamuje się. W tej chwili rusza do ataku 10 p. ułanów na m. Kowalewen. Widać, jak dzielnie i z jaką trudnością idą. Lecz cóż — już się cofają. Zwolna, rozważnie, ale stale ustępują pod naporem sił nieprzyjacielskich. Obserwuję, jak sprawnie odnoszą swych rannych i zabitych do tyłu. Widzę beznadziejność wysiłków i nonsens atakowania jedną brygadą kawalerii umocnionych i nowoczesnych pozycji niemieckich. Lecz oto rusza na lewym skrzydle 5 p. ułanów. Zbiórka. Do wsiadania! Na koń! — i pluton mój rusza. Udając się na wyznaczone miejsce przeskakują z lasku do lasku. I tu okazuje się celowość pozostawienia przez Niemców tych kęp na pograniczu. Z chwilą zjawienia się naszego w jakimkolwiek lasku, artyleria niemiecka z matematyczną dokładnością zaczyna w nas bić. Zajmujemy stanowiska na skraju wsi Truszki. Młyn w Lyssaken na wzgórzu wydaje mi się podejrzany. Wysyłam patrol 1 + 2. Po chwili wraca dwóch ułanów. Ułan Perkowski padł zabity wraz z koniem ogniem cekaemu z młyna. Wysyłam meldunek do dowódcy pułku. Nie doczekałem się jednak ostrzelania przez nasz DAK zdradzieckiego młyna, gdyż jak się później dowiedziałem d-ca brygady zabronił artylerii ostrzeliwać zabudowań, twierdząc, że tereny te będą do nas należały, więc nie można je niszczyć. 5 p ułanów cofa się. Od Lyssaken wychodzi natarcie niemieckie. Wiążę się ogniem z nieprzyjacielem. Za nami prowadzą jeńców niemieckich. Starzy ladwerzyści kiwają głowami.

Po 15-godzinnej bitwie brygada po licznych stratach w zabitych i rannych wycofuje się na południe, osłaniając odwrót grupy „Narew" gen. Młot-Fijałkowskiego. Nasz pułk poniósł większe straty w tej jednej bitwie niż w ciągu całej wojny 1920 r. Szwadron mój idzie w straży tylnej brygady. Twarze ułańskie są zacięte i ponure. Któryś z ułanów mówi: „Czekajcie, szkopy, wrócimy tu jeszcze".

Janusz Jeżewski

ZAMASKOWANA INICJATYWA

Los UNRRA, wydaje się przesądzony. Największej dostawcy: Stany Zjednoczone i Kanada nie objawiają najmniejszej ochoty, by prowadzić dalej działalność charytatywną i za darmo pomagać Europie. Ma ona żywić się sama z tych samych zresztą źródeł, z których żywiła ją UNRRA, ale za dewizy.

Na miejsce UNRRA'y ma być powołana nowa organizacja międzynarodowa — Międzynarodowa Rada Żywnościowa — potomek Combined Food Board (połączonego Biura Żywnościowego Anglii i Stanów Zj. A. P.) i UNRRA'y z tym wszakże, że celem jej ma być podniesienie rolnictwa światowego oraz regulacja cen żywności na całym świecie.

Cele bardzo szczytne — lecz warto się im przyjrzeć bez urzędowego, międzynarodowego entuzjazmu. Jeżeli bowiem, jak wynika z założeń, głównym zadaniem Rady będzie interwencja na rynku dla utrzymania cen produkcji rolniczej, przez stworzenie w ręku tej Rady rezerw interwencyjnych, które nie tyle będą wyrównywać braki w zapasach krajowych, ile ceny producentów rolniczych głównych eksporterów Stanów Zjednocz., Kanady, Argentyny i Australii.

Z drugiej zaś strony gwałtowne zainteresowanie się rolnictwem przez wysoko-uprzemysłowioną grupę anglosaską połączone ze zlikwidowaniem dostaw UNRRA'y, które obejmowały także w dużym procencie dobra produkcyjne (maszyny) przypomina przedwojenne próby Wielkiej Brytanii — przekonania rolniczych krajów europejskich, że powinny one zostać rolniczymi. Tylko bowiem w tym przypadku przemysł amerykański i angielski miałby wolne od konkurencji pole dla odbioru swych artykułów i utrzymałby dominujące stanowisko w świecie.

Międzynarodowa Rada Żywnościowa byłaby w zasadzie dalszym ogniwem międzynarodowej współpracy gospodarczej, dalszym krokiem do utworzenia jednolitego gospodarstwa światowego, ale ta zasada nie może być wypaczona dla zapewnienia korzyści rolnikowi i hodowcy amerykańskiemu, argentyńskiemu czy australijskiemu, za co zapłacić ma zniszczona Europa. Napewno nie byłoby ani wzmożenie ducha współpracy międzynarodowej, ani też pomocą w odbudowie rolnictwa i przemysłu w krajach, które najbardziej ucierpiały w wojnie.

A takim krajem jest Polska.

WYSOKI KOMISARZ PALESTYNY,

Gen. Cunningham jest rodzonym bratem admirała Cunninghama, obecnie naczelnego dowódcy floty brytyjskiej, który wsławił się operacjami przeciw siłom morskim „osi" na Morzu Śródziemnym, a następnie otrzymał kierownictwo operacjami morskimi w przełomowym okresie inwazji sojuszniczej na północną Afrykę i Francję.

Gen. Cunningham jest zwycięzcą z Somali i Abisynii i temu przypisać należy, że w r. 1941 otrzymał dowództwo słynnej 8-ej armii na pograniczu Egiptu i Libii. Na przełomie lat 1941 i 1942 przeprowadził gen. Cunningham silne uderzenie ofensywne na połączoną armię włosko-niemiecką, pozostającą pod dowództwem gen. Rommela, dowódcy niemieckiego Korpusu Afrykańskiego. Oskrzydlające od południa uderzenie brytyjskie zostało jednak przez Rommela zahamowane i gen. Cunningham nie mógł się absolutnie przedrzeć przez zaporę niemiecką. Został przeto w krótkiej drodze odwołany, a dowództwo 8-ej Armii powierzone zostało młodemu i pełnemu temperamentu gen. Ritchi, który przerwał się wprawdzie przez zaporę niemiecką, ale dał się następnie wciągnąć Rommelowi w zasadzkę i straciwszy wszystkie czołgi musiał podjąć szybki, katastrofalny w skutkach odwrót, który pozwolił Rommelowi zająć Tobruk wraz z dwoma dywizjami południowo-afrykańskimi. Dopiero pod El Alamein marsz niemiecko-włoski na Aleksandrię został zahamowany przez samego dowódcę frontu gen. Auchinlecka.

(El Alamein znaczy po polsku cmentarzysko. Stało się ono później rzeczywiście cmentarzyskiem połączonych sił niemiecko-włoskich).

Skompromitowany gen. Cunningham odwołany został do Anglii. Podczas inwazji nie powierzono mu żadnego dowództwa. Zasługi brata — admirała dopomogły w przywróceniu do łask generała, któremu powierzono najpierw dowództwo pewnego odcinka obronnego na wybrzeżu Anglii, a po rezygnacji lorda Gorta z godności Wysokiego Komisarza Palestyny, mianowano na to stanowisko gen. Cunninghama, który przekonuje się obecnie, że walka z Żydami jest łatwiejsza, aniżeli z Niemcami.

T.

Dalszy ciąg artykułu „Jak Rydz-Śmigły został marszałkiem" podamy w następnym numerze.

Z Polski i ze świata

Zatarg między Jugosławią i U.S.A. wywołany przez zestrzelenie dwóch samolotów amerykańskich nad Jugosławią — został zlikwidowany. Rząd amerykański uznał odpowiedź marsz. Tito za wystarczającą. Władze amerykańskie uzyskały prawo przeprowadzenia dochodzenia w sprawie drugiego samolotu amerykańskiego zestrzelonego w dniu 19 sierpnia b. r. oraz zapewnienia naprawienia wyrządzonych szkód. Ze swej strony rząd amerykański wydał zakaz przelotu samolotów amerykańskich nad Jugosławią. Stanowisko Ameryki wobec Jugosławii wywołało niesmak w wielu krajach.

Prace Konferencji Pokojowej toczą się powoli w komisjach. Proponowana początkowo przez ZSRR i Stany Zjednoczone przerwa w obradach w okresie sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych została zaniechana. Prace w komisjach będą się odbywały bez przerwy, lecz w wolniejszym tempie.

Rewizja konwencji w Montreux, której domagał się ZSRR spotkała się ze sprzeciwem Turcji, Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Francji, pomimo tego, że zawarta w 1936 r. konwencja jest przestarzała i nieodpowiada warunkom chwili obecnej. Słuszna propozycja ZSRR, ażeby w pracach nad rewizją konwencji brały udział tylko państwa czarnomorskie, gdyż Morze Czarne jest morzem zamkniętym — napotyka na duże trudności.

Rada Bezpieczeństwa pod przewodnictwem ambasadora Polski Oskara Langego rozpatrzy skargę Ukrainy w sprawie sytuacji w Grecji i prośbę 9 państw, ubiegających się o przyjęcie do O. N. Z.

Nowy rząd w Indiach pod przewodnictwem Pandit Nehru, pomimo sprzeciwu muzułmanów, został zatwierdzony przez króla Jerzego VI.

Niepowodzenie w Oslo

Elita lekkoatletyczna młodzieży sportowej całej Europy przyjechała do stolicy Norwegii, aby w szlachetnej walce o zdobycie pierwszego miejsca, reprezentować tężyznę fizyczną swego narodu i jeszcze raz udowodnić, że sport, mimo nawet pewnych różnic ideologicznych, potrafi jednać i bratać wszystkich sportowców świata.

W chwili, gdy przy zielonym stole Konferencji Pokojowej w Paryżu toczyła się wielka gra polityczna, na czarnej bieżni w Oslo młodzież sportowa Europy nawiązywały z sobą bliższy kontakt i serdeczną przyjaźń. W dniu rozpoczęcia igrzysk cały stadion w Oslo tonął w powodzi flag wszystkich, biorących udział w zawodach państw. Na stadionie zgromadziło się ponad 45 tysięcy widzów i 250 dziennikarzy sportowych. Obecnością swą zaszczycił zawody 74-letni król Haakon VII, który po defiladzie serdecznie przemówił do sportowców i dokonał uroczystego otwarcia mistrzostw Europy.

Konkurencje następowały po sobie szybko i sprawnie, przynosząc jednym radość, drugim smutek i przygnębienie. W każdej walce jest przecież zwycięzca i zwyciężony.

Nic dziwnego, że w małych liczebnie obozach tego czy innego państwa panował wielki entuzjazm, gdy zawodnik ich zdobywał pierwsze, drugie lub trzecie miejsce i dławiony w sobie smutek, gdy reprezentant odpadł w ćwierć lub półfinałach. Przez cztery dni na stadionie w Oslo odbywały się walki. Dziś z Oslo pozostały tylko piękne wspomnienia, o których napisze specjalny wysłannik „Tygodnia", red. Jarosław Nieciecki. Zajmiemy się więc tylko wynikami. Pierwsze mistrzostwa Europy wykazały, że lekkoatleci, mimo wojny, mimo prowadzenia często w ciągu sześciu lat nienormalnego trybu życia obniżyli swój poziom bardzo nieznacznie. Nie padły rekordy światowe lub europejskie, ale niektóre wyniki były bardzo zbliżone do nich. Ogólną niespodziankę sprawiły zawodniczki ZSRR, które zajęły wiele pierwszych miejsc i spisały się lepiej niż mężczyźni tego państwa.

Szczegóły startu polskich zawodniczek i zawodników były następujące: Walasiewiczówna odpadła w półfinale biegu na 100 mtr., wywracając się na końcowej części dystansu; również i w biegu na 200 mtr. przegrała do zawodniczki radzieckiej.



Jadwiga Wajs-Grętkiewiczowa, matka dwojga dzieci zajęła w Oslo czwarte miejsce w rzucie kulą i trzecie w rzucie dyskiem. Na zdjęciu nasza zawodniczka przemawia do radiosłuchaczy.

W skoku w dal Walasiewiczówna uzyskała zaledwie 5 mtr., co nie wystarczyło do zakwalifikowania jej do finału.

Wajs-Grętkiewiczowa zdobyła czwarte miejsce w rzucie kulą (11 mtr. 65 cm.) i trzecie miejsce w dysku (39 mtr. 37 cm.), jedyny brązowy medal zdobyty przez naszych reprezentantów.

Dobrzańska zajęła piąte miejsce w dysku (36 mtr. 30 cm.). Kwaśniewska w rzucie oszczepem była szóstą (38 mtr. 57 cm.), Stachiewiczówna odpadła w finale rzutu dyskiem. Moderówna, Słomczewska i Hejducka nie odegrały żadnej roli, jedynie w sztafecie 4 × 100 mtr. wespół z Walasiewiczówną zajęły szóste miejsce.

Z zawodników naszych jedynie Gierutto miał szanse zajęcia trzeciego lub czwartego miejsca w dziesięcioboju, ale nader wał sobie ścięgno Achillesa i musiał się wycofać po sześciu konkurencjach. Rutkowski, Staniszewski, Świnarski, Piaskowy, Kozubek i Kuźmicki nie odegrali żadnej roli i nie zajęli punktowanego miejsca.

Reasumując pobieżnie ogólny bilans naszej wyprawy do Oslo, nie należy zbyt pesymistycznie zapatrywać się na jej efekt cyfrowy. Większość zawodników polskich stanowili młodzi lekkoatleci, których nazwiska niedawno zaczęły ukazywać się na szpaltach pism. Lekkoatletyka jest sportem, w którym wynik uzależniony jest od stylu. Trudno jest wymagać od naszej młodzieży, aby w przeciągu roku uzyskała wyniki, na które inni zużyli kilka lat intensywnej pracy.

Cieszymy się, że w szeregu naszych lekkoatletów mamy wiele młodych talentów. Po roku do tych szeregów dołączą się zapewne i inni, dziś jeszcze nieznani. A wówczas będziemy mogli myśleć o uzyskaniu lepszej lokaty w ogólnej klasyfikacji europejskiej.

Władysław Lachowicz

P U N K T Z A P A L N Y



British Photo

Sprawa Triestu jest przedmiotem sporów na Komisji do spraw pokoju z Włochami. Zgłoszono 31 poprawek do projektu rozwiązania tego zagadnienia. Tymczasem zaburzenia i demonstracje w Trieście nie ustają. Jak wynika z rozlepionych w mieście afiszów, pisanych ręcznie, demonstracje będą trwały dotąd, dopóki faszyści nie zostaną usunięci z miasta.

Na zdjęciu — żołnierze amerykańscy otaczają demonstrantów podczas ostatnich zaburzeń.

ROZPOCZYNAMY JESIENNY SEZON POLITYCZNY

Rozpoczynamy jesienny sezon polityczny jeszcze u schyłku lata. Rozpoczęły go polemiki między PPS i PPR, które wywołały wiele uwag i pogłosek. Opinie rozplotkowanych środowisk mieszczańskich już usiłowały widzieć w tej polemice rozdźwięki między dwiema partiami robotniczymi. „Taka dyskusja — jak oświadczył premier — trwała zresztą w ciągu całego okresu naszej wspólnej pracy, tylko dla mało bystrego polityka nie była tak widoczna jak obecnie." Jednocześnie kryzys w Stronnictwie Pracy oraz gruntowanie się: PSL — Nowe Wyzwolenie w życiu politycznym — wszystko to potęgowało zarówno napięcia polityczne, jak również jaskrawiej zarysowało widmo zaostrzenia walk, wówczas, kiedy premier podniósł znów sztandar jedności narodu a społeczeństwo szczerze wzdycha do spokoju, normalizacji stosunków, wzrostu poczucia prawa, rodzącego pewność i rozwiewającego atmosferę nieufności, ciążącą na naszym życiu.

Ubiegła niedziela przyniosła nam pewne wyjaśnienia na odcinku PPS i Str. Pracy. Rady Naczelne obu tych partyj odbyły zebrania.

CO SIĘ ODBYŁO NA RADZIE NACZELNEJ PPS

Wyniki obrad Rady Naczelnej widzimy w uchwale oraz w nowym składzie władz partyjnych.

Uchwała w zakresie polityki zagranicznej oczywiście nie wnosi nowych elementów. Polityki zagranicznej ani nie zmienia się z dnia na dzień, ani nie może być rozsądniejsza w naszych warunkach geopolitycznych niż ta, jaka jest obecnie. Istotą jej — od polskiego wnętrza — musi być przełamanie uprzedzeń i nieufności, pokutujących w społeczeństwie w stosunku do ZSRR. To zadanie PPS podejmuje. Liczy jednocześnie na to, że angielska Partia Pracy usunie pozostałości konserwatyzmu w gabinetach brytyjskiego Foreign Office, przejawiające się w sposób niewłaściwy w traktowaniu Polski. Polityka życia ma przekonać Stany Zjednoczone, że jesteśmy rzeczywiście państwem samodzielnym i kontrahentem handlowym, z którym „warto gadać".

W zakresie polityki wewnętrznej — utrzymuje się zasada jednolitego frontu partyj robotniczych, PPS jednak żąda dla siebie większej obsady stanowisk w państwie. Nastąpiła też zapowiedź ponowienia próby utworzenia bloku wyborczego wszystkich 6 stronnictw.

Charakterystyczne są zmiany personalne. Zniknęły z nich dwa nazwiska: min. Matuszewskiego i Zaruk-Michalskiego. Zjawiły się nowe: dwóch redaktorów: Z. Mitznera i R. Pragi oraz dyrektora biura prezydialnego „Społem" — Adama Rapackiego.

STRONNICTWO PRACY

Rada Naczelna Str. Pracy stwierdziła, że opiera się na 80.000 członków, że ci, co odeszli — nie szli z duchem czasu. Stronnictwo oprzeć się pragnie na fundamencie postępowego katolicyzmu, współpracować z innymi partiami demokratycznymi, jednakże nie wniosło uchwały przystąpienia do bloku wyborczego, gdyż, jak stwierdzono, „brak elementów" do takiej decyzji.

Na czoło obecnego Str. Pracy wysunął się b. woj. Widy-Wirski, obecny wiceminister Informacji i Propagandy i ks. Weryński, którego nazwisko gościło ostatnio często na łamach prasy.

KRN I DALSZE KONGRESY

5 września rozpocznie obrady KRN, która zapewne uchwali ordynację wyborczą i wypowie się co do terminu oczekiwanych wyborów.

Na połowę miesiąca zapowiedziany jest kongres PSL, który stoi w obliczu drugiego kongresu, zapowiedzianego przez PSL—Nowe Wyzwolenie. Co przyniosą te nowe zjazdy? Nowe napięcia czy odprężenie? Trudno zajmować się proroctwami.

Nie wydaje się to ani łatwe, ani proste w obecnych nastrojach, w atmosferze nieufności i oskarżeń wzajemnych. Inicjatywy premiera i PPS spowodowania odprężenia, wytknięcia drogi ku jedności, przesunięcia ciężaru wysiłków społecznych ku zagadnieniom najdonioślejszym — międzynarodowym, bezpieczeństwa (sprawa niemiecka), odbudowy, porządkowania gospodarki, ciągle jeszcze zygzakowatej mimo generalnych wytycznych, odpowiada najgłębszym potrzebom narodu. Można liczyć na to, że potrzeby i głos rozsądku będą miały swój wpływ.

Wiadomości sportowe

Węgierska drużyna piłkarska „Ferencvaros" rozegra w dniu 1 września b. r. mecz piłkarski z Ł. K. S., rozpoczynając tym spotkaniem swe tournée po Polsce. Węgrzy dalsze swe mecze rozegrają prawdopodobnie w Warszawie, Krakowie i Poznaniu.

Automobilklub polski organizuje w dniach 5 — 7 września b. r. pierwszy po wojnie raid samochodowy, na przestrzeni 1000 km.

Kolarskie mistrzostwa świata odbyły się w Zurychu, bez udziału zawodników polskich, którzy z braku pieniędzy nie wyjechali do Szwajcarii.

Międzypaństwowy mecz pływacki Francja — Czechosłowacja zakończył się zwycięstwem Francji w stosunku 24 : 16.

Mistrzostwa tenisowe Polski rozpoczęły się w dniu 27 sierpnia b. r. w Katowicach.

POWITANIE OCALAŁYCH OBRAZÓW

Przetrwanie wśród morza ruin Muzeum Narodowego w Warszawie urasta do symbolu niezniszczalności kultury polskiej.

W uratowanym gmachu, od pierwszej chwili, gdy się to stało możliwe ,zaczęto zbierać, ochraniać i zabezpieczać przed zniszczeniem to, co pozostało ze sponiewieranych zabytków naszej sztuki. Dziś dzięki gromadce ludzi, z dyrektorem Stanisławem Lorentzem na czele, fanatycznie oddanej polskiej kulturze, przeżywać możemy cud powitania w wielkich jasnych pięknych salach Muzeum arcydzieł malarstwa.

Rabowane systematycznie, wykradane indywidualnie, wywożone masowo wgłąb Niemiec i ukrywane w niedostępnych miejscach, z trudem nieopisanym odnalezione, wróciły nasze zabytki do stolicy.

Witają nas ze ścian obrazy, dobrze znane, nie tylko z Muzeum, ale i z Zachęty warszawskiej i ze zbiorów Państwowych na Zamku. Przebiegamy sale, aby się upewnić, i własnymi oczami stwierdzić, że mimo wszystko ocalał Matejko, że „Kazanie Skargi", uszkodzone przez wilgoć

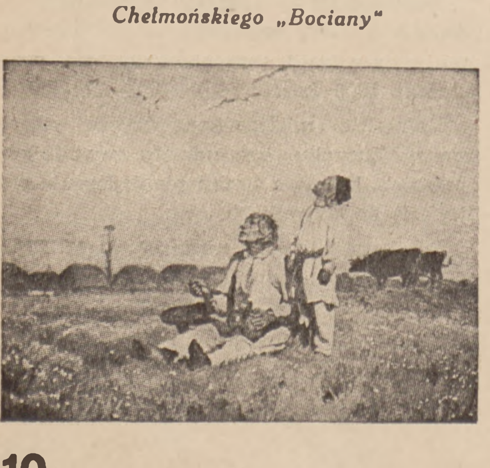


Aleksander Gierymski — wnętrze bazyliki św. Marka w Wenecji

i pleśń, istnieje, a piękno jego przywołane zostanie z powrotem ręką generalnego konserwatora prof. Marconiego; że w sali, poświęconej twórczości Matejki, nie brak jego autoportretu i portretu żony i wielu innych; że możemy znów patrzeć na Malczewskiego i Chełmońskiego, podziwiać Gierymskiego „Altanę", cieszyć się Wyczółkowskim, Wyspiańskim, Boznańską i tylu innymi, chociaż do tej pory tylko 20 proc. dzieł, będących przed wojną własnością Muzeum, powróciło z obcych rąk.

Osobliwe zupełnie uczucia ogarniają widza, gdy znajdzie się w obliczu cyklu Canaletta, wyobrażającego dawną Warszawę. Patrząc na te obrazy kiedyś, to

Chełmońskiego „Bociany"



znaczy przed katastrofą wojny, radowaliśmy się tym plastycznym świadectwem dawnej stolicy, wyszukiwaliśmy zmiany, jakie stulecia poczyniły w kształcie jej murów; stwierdzaliśmy istnienie tych samych kościołów, zamku królewskiego — i wyszukiwaliśmy smak odrębnego obyczaju, koloryt życia, które minęło bezpowrotnie. Dziś, tragicznym zrządzeniem losu Warszawa Canaletta staje się dokumentem nie tylko Warszawy osiemnastowiecznej, ale Warszawy w ogóle, której bezcenne zabytki już nie istnieją. Patronuje tej sali Stanisław August w ujęciu portretowym Bacciarellego; jemu zawdzięczamy istnienie Warszawy Canaletta; na zamówienie też króla rysował wizerunki Warszawy Vogel, i teraz, zanim odbudowany zostanie pałac w Łazienkach, widzimy jego czarowny kształt na wdzięcznym rysunku. Jest coś w tym powitaniu obrazów podobnego do powitań najmilszych przyjaciół, którzy poprzez męki obozów i zagubień powrócili do Ojczyzny.



Canaletta „Pałac Wilanowski"

KRAKOWSKA „POLONIA"

W ŁODZI

W okresie przed ostatnią wojną domagano się powszechnie malarstwa tematowego, znudziły się bowiem martwe natury i obrazy stanowiące mniej lub więcej udany zespół form i plam — przestały odpowiadać „gustowi czasu". Artystom, uwikłanym w rozwiązywaniu problemów czysto formalnych i abstrakcyjnych, gubiącym się nieraz w wąskich nawet zagadnieniach faktury malarskiej, starano się z zewnątrz podsunąć określone tematy, dyktowane czy to aktualnością wydarzeń, czy też powszechnością zainteresowań, czy wreszcie koniecznością utrwalenia w sztuce pewnych faktów historycznych, postaci wybitnych oraz ich czynów związanych z danym narodem.

Nadeszła wojna: zjawisko straszliwe w swej potędze, wobec którego żaden artysta nie mógł pozostać obojętny. Oto powstał temat nieszukany, przeciwnie — odpychany, od którego nie ma ucieczki, który jeszcze wciąż przeżywać trzeba.

Odbicie wojny, z całą jej wielokrotnością cierpienia ludzkiego stało się tematem, do którego trzeba nawoływać, bo narzuca się sam z nieubłaganą siłą.

Na wystawie plastyków krakowskich p.t „Polonia" otwartej w Łodzi, trzy plakaty Bandury w doskonały sposób rozwiązane pod względem formalnym, są jakby skrótem i lapidarnym zawołaniem, które streszcza cel i zamierzenia tego pokazu. „Krew ich woła o karę" — czerwienią zgłosek krzyczy napis, a dopełniają go wielkie krople krwi na ścianie, wzdłuż której osunęła się właśnie postać rozstrzelanego, a dwie następne oczekują kolei, aby paść od wystrzału niemieckiego żołdaka.

Drugi afisz, to znów trzy postacie w tragicznych pasiakach więziennych z czerwoną literą „P" na sercu. Napis zawiera pytanie dla Polaka zbędne, a brzmi ono „Pamiętasz?" U dołu nakaz: „Mścij się". Wreszcie trzeci plakat, równie pod względem artystycznym doskonały równie silny w oddziaływaniu: ogromna postać Niemca przesłaniająca świat, który za jego sprawą obrócił się w morze płomieni.

Najciekawsze są te prace, które poszukując wyrazu plastycznego dla tragicznych przeżyć, wyszły poza ciasne ramy realizmu. Odzwierciedlić powszechność cierpienia, dać mu natężenie przeżycia zbiorowego, może tylko forma syntezy, nie analityczne indywidualizacji. Toteż Geppert, autor „Wysiedlonych", gubi z rozmysłem i słusznie twarze wygnańców Warszawy: było ich setki tysięcy, więc przestały być pojedyńczo ważne. Sceny z więzień i obozów koncentracyjnych, w których jest wszystko: rozszarpywanie ludzi przez psy, katowanie dzieci, apele wielogodzinne — najmocniej przemawiają tam, gdzie artysta osiąga potęgę wyrazu za pomocą środków nierealistycznych.

Tragedia Warszawy, znajduje odbicie w wielu rysunkach i kilku obrazach; obok momentów bohaterskiej śmierci uchwycono chwile krótkotrwałego, lecz niezapom-



(Fot. J. Płożewski)

Plakat Bandury „Pamiętasz?"

nianego tryumfu, wyrażającego się w łopocie biało-czewonego sztandaru na barykadzie. Nie brak też i odbicia ostatniego aktu tragedii stolicy: powrotu jej mieszkańców do ruin i zgliszcz.

Nazwiska artystów. Czy konieczny ich wykaz? Niech wymienię tylko nazwisko Józefa Mehoffera, który odszedł już od nas, a przed śmiercią dał artystyczne świadectwo dramatowi Warszawy. W tryptyku Mehoffera „Warszawa"—wizję tragiczną męczeństwa miasta przyćmiewa muzyka tryumfalna aniołów, którzy, unosząc się nad pochodem wygnańców, ogłaszają zwycięstwo dobra i sprawiedliwości. Inny znakomity artysta — Weiss, poprzez wizję patrolu żandarmerii niemieckiej, daje w obrazie zatytułowanym „Wiosna", afirmację życia, które rozbrzmiewa pieśnią ptasząt i złoci się mleczem, rozkwitającym pod kaskiem złożonym na grobie żołnierza.

Dr. Jadwiga Puciata-Pawłowska

Od administracji:

Prosimy o odnowienie prenumeraty na miesiąc wrzesień b. r.

Kronika kulturalna

PRACE nad nowym programem wychowania fizycznego w szkołach są na ukończeniu. Nowy program... stawia usportowienie młodzieży na równym stanowisku obok gimnastyki, plastyki, rytmiki, tańców narodowych oraz turystyki z obozownictwem... W programie na plan pierwszy mają być wysunięte: pływanie, lekkoatletyka, narciarstwo, gry sportowe, hokey lodowy i kajakowanie". Tak pisze p. Zygmunt Orłowicz w artykule p.t. „Przed nowym rokiem szkolnym" („Rzeczpospolita" Nr. 203/699). Jak widzimy program wychowania fizycznego jest bardzo obszerny i urozmaicony. Ano: mens sana in corpore sano.

ZABAWNE ZESTAWIENIE artykułów przytrafiło się krakowskiemu „Dziennikowi Polskiemu" (Nr. 209) Edwin Jędrkiewicz ogłosił tam całe studium p. t. „Geniusz grafoman". Mniejsza o ogólniki i uproszczenia, na jakie sobie pozwala, zaliczając do grafomanii wiele utworów Zapolskiej, Przybyszewskiego, Tetmajera, Lawrence'a i Goethego, i wymieniając obok tych pisarzy jednym tchem Mniszkówne, Pitigrillego, Goebelsa i Hitlera. Jest to swego rodzaju façon de penser, z którym nie zamierzamy dyskutować. Interesujące jest spostrzeżenie Jędrkiewicza, że grafomania zazwyczaj „atakuje tematy erotyczne". Grafoman wyżywa się w erotyce. To prawda. I oto w tymże numerze „Dziennika" tuż pod artykułem Jędrkiewicza, czytamy w odcinku nowelę Mariana Promińskiego p.t. „Pocałunek". Już sam tytuł zawiera erotykę, nieprawdaż? Weźmy jednak z niej taki fragmencik: „Przyciągam ją za rękę do siebie. Idzie lekko za moim ruchem i już mam ją na sobie. Całujemy się ustami w usta, krótko, łapczywie. Wspiera się kolanem o moje kolana. Drugi pocałunek jest jak szatan, bezmyślny, długi, lubieżny, przepojony smakiem oddechu. Chcę już odejść — Przyjdź jutro — mówi niskim, nakazującym szeptem". I tam dalej — w tymże duchu, jak mówią Rosjanie. Ciekawe, dlaczego redakcja „Dziennika" zestawiła na jednej stronie obydwa utwory? Czy „Pocałunek" mamy traktować jako ilustrację i udowodnienie tezy, którą przeprowadza Jędrkiewicz? A może i artykuł Jędrkiewicza jest potrosze grafomański? Może wobec tego cała strona poświęcona jest grafomanii? Może wreszcie — myśląc konsekwentnie — redakcja „Dziennika" kultywuje w ogóle grafomanię?

„**NA CZELE** spraw filmowych w Polsce stoją: A. Ford, jeden z najbardziej obiecujących reżyserów filmowych przed wojną, oraz Wohl, jeden z najlepszych operatorów polskich" — pisze Jalu Kurek w artykule „Dobranoc!" („Dziennik Ludowy" Nr. 318). I w dalszym ciągu zadaje im kilkanaście pytań, których sens sprowadza się do tego, dlaczego „tak tragiczna jest obecna nieudolność polskiej kinematografii". Możemy powtórzyć to retoryczne pytanie: rzeczywiście — dlaczego?

„**ROZGI**" — taką nazwę nosi nowe pismo satyryczne, od kilku tygodni wychodzące w Łodzi. Trzeci jego numer przynosi na pierwszej stronie duży rysunek: okaleczały żołnierz polski, z obciętymi nogami, przytroczony do deski na kółkach, uniżenie czyści komuś buty. Na ramieniu ma naszywkę: „Poland". Napis objaśniający rysunek głosi: „Z resztek wojska polskiego w W. Brytanii utworzono korpus pomocniczy", przy czym wyraz „korpus" wzięty jest w cudzysłów, co ma być zapewne aluzją do kaleki, który nie stanowi już całego człowieka. Omawiając ten rysunek p. Joanna Wyszkowska pisze w „Dzienniku Łódzkim" (Nr. 233/420): ,Prawda, jakie to zabawne? Ale nikt się jakoś z tego nie śmieje... Czy wszyscy żołnierze polscy wrócą do kraju, czy nie — to sprawa zgoła inna. Ale to jest pewne, że żołnierz polski walczył z Niemcami, i właśnie w tej walce się wykrwawił, w tej walce tracił nogi... Walczył także w obronie poniewieranej przez Niemców godności ludzkiej. Jeśli zapłatą dla naszego żołnierza ma być wyśmiewanie właśnie jego godności ludzkiej — jest to bolesny znak, że w naszej demokracji są jednostki, które mocno obniżają jej prestiż. Bo — jak już ktoś to trafnie wyraził — demokracja żyje i upada wraz z wartością, której jedynym wykładnikiem jest człowiek i jego godność". Co dodać do tych słów szlachetnych? Insza Anders, insza jacyś generałowie i karierowicze, a insza żołnierz, który szedł ofiarnie bić się o Polskę tam, gdzie — jak wierzył — wywalczyć ją może: w powstaniu warszawskim i pod Narvikiem, pod Monte Cassino i pod Tobrukiem — to obojętne było dla niego. Rysunek w „Rózgach" jest cyniczny. Rysunek rani uczucia narodowe. Jeśli zdeprecjonowan słowa Wyspiańskiego o świętościach, których nie wolno szargać, mogą mieć gdzieś zastosowanie, to właśnie w danym wypadku.

St. Łatka

WARSZAWA SZTOKHOLM-PARYŻ



Nigdy nie brakło u nas obieżyświatów. Głód wrażeń od najdawniejszych czasów był ojcem naszej turystyki. Tylko, że dawniej nie wszyscy pisali reportaże z podróży.. Dziś, kiedy czyta się relacje urzędowych i nieurzędowych delegatów chciałoby się nieraz powiedzieć słowami Sałtykowa - Szczedrina: „Niechaj przeklęta będz'e gęś, która dała pióra do napisania takiego utworu“. Tylko, że dziś nie używa się już gęsich piór, a za to pierwszy lepszy mańkut posiada Parkera i na kolanie, a nawet jeszcze niżej, jednym pociągnięciem stalówki rozprawia się z połową Europy.

Taki mańkut nic nie dostrzega, nic mu się nie podoba, Londyn poklepie po ramieniu, Paryżowi da psztyczka w nos, po czym dumny z siebie wraca do swojej czystej zakrapianej. Wydaje mi się, że nasze M.S.Z. powinno kandydatów na wyjazd za granicę poddawać uprzednim badaniom lekarskim i odmawiać paszportów śledziennikom, pesymistom, zezowatym, wazeliniarzom i nietrzeźwym. Znam bowiem takich, którzy starali się mnie przekonać, że architektura Florencji nie umywa się do „naszej pięknej Łodzi z jej kominami“, że w szwedzkich obozach wypoczynkowych esesmani pastwią się nad Polakami i że w Paryżu panuje głód. Przypomina to historyjkę o pewnym jegomościu, który po powrocie z Italii miał do opowiedzenia jedynie tyle, że łóżka w Rzymie są za krótkie, materace w Neapolu niewygodne, a sufity w hotelach zakopcone. Trzeba jednak dodać, że jegomość ten odbywał podróż poślubną. Opowieści o głodzie w Paryżu należą do tej samej, mniej więcej, serii. Oczywiście jeżeli nasi rodzimi żarłocy w podróży za granicę szukają jedynie wrażeń gastronomicznych, niewarci są paszportów, bo u nas w pierwszej lepszej knajpie w Łowiczu, czy w Koluszkach lepiej można zjeść, niż u słynnego Pruniera na Avenue Victor Hugo.

Ale istnieje również inny gatunek turystów, znanych jeszcze z „Cudzoziemszczyzny“, którzy przed byle tandetą francuską stają z rozdziawioną gębą, a po obejrzeniu wystaw na Rue de la Paix wracają chorzy do hotelu. Dla nich Polska jest krajem, w którym „szanujący się“ człowiek o „prawdziwej kulturze“ mieszkać nie może. Do tej kategorii należą również emigranci intelektualni, którzy marzą o wyjeździe za granicę w przekonaniu, że „tam“ oczekiwać ich będą ze sztandarami i z orkiestrą, że banki stoją dla nich otworem, a „langusta sama wpada w usta“. Warto tym ludziom przypomnieć, że Warszawa przed wojną, nazywana małym Paryżem, wcale do Paryża nie była podobna, a mimo to powracało się do niej zawsze z żarliwym sentymentem, tak jak dziś powracają warszawscy pogorzelcy. Tych tkliwych uczuć dla rodzinnego miasta nie zaspokoją chimery z Notre-Dame, ani perspektywa Pól Elizejskich. I w tym, że Paryż to Paryż, a Warszawa to Warszawa, tkwi właśnie tajemnica radości, której doznaje się zarówno przy wyjazdach, jak i przy powrotach. O tym wszystkim trzeba pamiętać, kiedy pisze się reportaż z podróży.

Jeżeli zapragnąłem podzielić się z czytelnikami wrażeniami z wyprawy do Sztokholmu i Paryża, to jedynie dlatego, aby napisać kilka słów prawdy o sprawach, które wszystkich mogą zainteresować. Trudno sobie wprost wyobrazić ile apodyktycznej blagi mieści się w sprawozdaniach naszych turystów, pragnących, zdawałoby się, olśnić czytelnika własną mądrością i pobłażliwą obojętnością dla rzeczy widzianych. Cóż, gdybym był intelektualistą napisałbym nudne studium o nowej poezji francuskiej, o stosunku Aragona do Przybosia, o egzystencjonaliźmie i o innych zagadnieniach, nad którymi usypia się tak, jak nad „Odrodzeniem“. Gdybym był dziennikarzem, powtórzyłbym kilka plotek politycznych, opisałbym menu pana Bevina i przytoczyłbym trochę cyfr, odnoszących się do drugiej wojny światowej, do wywozu i przywozu lub do wieku delegatów na konferencję pokojową.

Ponieważ jednak nie jestem ani Sandauerem ani Podkowińskim, postanowiłem opisać jedynie to, co po siedmiu latach ukazało się zgłodniałym oczom podróżnika, co zaspokoić może ciekawość normalnego, zwykłego człowieka, a przy tym zawierać będzie odpowiedź na uciążliwe pytanie, zadawane mi ustawicznie przez krewnych, przyjaciół i znajomych: „Jak tam było w Paryżu?“ Otóż właśnie mam zamiar opowiedzieć.

Było nas troje. Dygat, ja i żona jednego z nas. Zaczęło się od załatwiania formalności w biurach i urzędach. Wszędzie, jak od wybitnych gwiazdorów żądano od nas fotografii, przy czym rekord pobił konsulat francuski, gdzie łącznie musieliśmy złożyć dwanaście zdjęć. Dygat dostał na tym punkcie takiej obsesji, że nawet kelnerowi w „Polonii“ wetknął swoją fotografię i zażądał reszty. Wędrowaliśmy i wystawaliśmy w urzędach i w ogonkach przez trzy tygodnie. Prosiliśmy, czekaliśmy, dziękowaliśmy, a pod wieczór, goniąc resztkami sił, wracaliśmy do hotelu. Nie chciałbym, aby mnie źle zrozumiano. Jesteśmy pełni uznania dla uprzejmości i uczynności osób urzędowych, z którymi stykaliśmy się w tym czasie. Nikomu nie mam zamiaru schlebiać, ale dosłownie, poczynając od wiceministra, a kończąc na celniku w Gdyni, wszyscy zadziwiali nas, niespotykaną dawniej, grzecznością. Natomiast udręczała nas procedura i formalistyka, te dwa nieodłączne atrybuty wielkiego urzędowania. Dopiero później, w Paryżu, gdy wypadło nam czynić starania o wizy w jednym z urzędów francuskich, gdy po długich, uciążliwych zmaganiach woleliśmy z tych wiz zrezygnować, zrozumieliśmy, że zabiegi nasze w Warszawie były dziecinną igraszką, czymś w rodzaju stąpania po różach.

Wreszcie, pewnego upalnego wieczoru, z uczuciem niewysłowionej ulgi, ledwo zipiąc, wsiedliśmy do wagonu Warszawa—Sztokholm. Była to chwila przełomowa. W szwedzkim wagonie sypialnym rozkoszowaliśmy się dawno niewidzianym komfortem. Dotykaliśmy z ciekawością różnych metalowych urządzeń, starając się, po siedmiu latach, przypomnieć sobie ich przeznaczenie. Doznawane uczucia usiłowaliśmy wobec samych siebie usprawiedliwić tezą, że komfort, wygoda i czystość nie stoją w sprzeczności z ideą demokracji, jak to wydaje się niektórym naszym prowincjonalnym kacykom.

Wczesnym rankiem dnia następnego stanęliśmy w Gdyni, po czym wagon nasz wtoczył się na prom „Drottning Victoria“, udający się do Trelleborga.

Kilka bojaźliwych spojrzeń na łodzie i koła ratunkowe, ostatni rzut oka na gdyński port i — statek odbił od brzegu, Mieliśmy przed sobą osiemnaście godzin podróży morskiej.

c. d. n.

Jan Brzechwa



Dwie londyńskie artystki z teatru Windmill: Angela Page i Beryl Catlin rozkoszują się słońcem i chłodzącym napojem podczas upałów sierpniowych na dachu jednego z domów na West End w Londynie. (British Photo)

WIELKI KONKURS FOTOGRAFICZNY

Poczynając od następnego numeru — zamieszczać będziemy co tydzień jedną zagadkę fotograficzną. Rozwiązanie polegać będzie na odgadnięciu treści ilustracji, oraz wypełnieniu odpowiedniego kuponu. Kupony wszystkie razem przesłać należy najpóźniej do dnia 17.12.1946 r. (wtorek) do redakcji „Tygodnia“. Za prawidłowe rozwiązanie każdej z zagadek rozwiązujący otrzymuje pewną ilość punktów. Zwycięży w konkursie posiadacz największej ilości punktów. W wypadku jednakowej ilości punktów o rozdziale zadecyduje losowanie. Oto wykaz nagród:

1 nagroda 3000 zł — 2 nagrody po 1000 zł
5 nagród po 500 zł — 10 nagród po 250 zł
32 nagrody — prenumerata kwartalna „Tygodnia“.

Wyniki konkursu podamy w numerze 25 z datą 29.12.1946 r. Polecamy zatem uwadze czytelników pierwszą z 15 zagadek, która ukaże się już w następnym numerze.

Nie ma kobiet brzydkich — są tylko zaniedbane

We wszelkiego rodzaju podróżach najbardziej skóra, a szczególnie twarz — narażona jest na działanie atmosferyczne, dlatego też w walizeczce podróżującej kobiety musi się znaleźć uzupełniona apteczka kosmetyczno-lecznicza.

W wagonie osiada na twarzy b. duża ilość kurzu, tak że przemywanie jej jest b. wskazane, ale nie wodą kolońską gdyż zawarty w niej alkohol i olejki eteryczne więcej drażnią naskórek, a suchą cerę jeszcze bardziej wysuszają. Skutek tego rodzaju postępowania jest taki, skóra jest podrażniona, pojawiają się czerwone plamki i może dojść do podskórnej swędzącej wysypki pokrzywkowej.

Chcąc uniknąć wszelkich komplikacji, każda pani przed podróżą powinna umyć gruntownie twarz i przetrzeć ją płynem dezynfekcyjnym dostosowanym do rodzaju skóry i po tym zabiegu dość obficie zapudrować, ażeby puder stanowił tę zaporę ochronną dla cery, na której kurz nie będzie osiadał bezpośrednio.

Po podróży nie trzeba zaraz myć twarzy wodą i mydłem, ale zetrzeć kurz zmywaczem dostosowanym do cery, wzdłuż linii mięśni twarzy, osuszyć i zapudrować.

Jazda samochodem a szczególnie szybki pęd powietrza drażni silnie oczy i wysusza skórę toteż po przyjeździe na miejsce, smarujemy twarz oliwą kosmetyczną lub coldkremem, po upływie pół godziny zmywamy lekko watą wzdłuż mięśni twarzy lotionem lub 2% solutio resorcini. W podróży autem czy rowerem — skóra jest napięta, czasem podrażniona i pali. Dobrze jest w takim wypadku nałożyć maseczkę na twarz dla odprężenia i odświeżenia: żółtkową dla cery suchej;— ziołową lub owocową dla cery tłustej i mieszanej. W razie palenia skóry można stosować okładziki lniane z mleka zsiadłego, lub mocnej letniej herbaty.

Na zakończenie chciałam podać maleńkie uwagi: przed opalaniem, a szczególnie na statku czy też na kajaku, promienie słoneczne na wodzie „chwytają“ skórę bardzo szybko, a fizyczna praca przy wiosłowaniu powoduje wzrost temperatury całego ciała i pocenie się, wiatr i słońce natychmiast wysysają wilgoć z powierzchni skóry. W ten sposób po kilku godzinach może nastąpić silne porażenie słońcem, stanowiące niebezpieczeństwo życia. Należy tego unikać i po krótkim plażowaniu nakryć się czymś białym. Jeśli zdarzy się jednak wypadek oparzenia skóry, przy pierwszym i drugim stopniu możemy ratować się same. W wypadku porażenia słonecznego 3-go stopnia należy się udać do lekarza.

W I i II wypadku stosujemy okładziki z oleju lnianego z wodą wapienną lub białko, zmieniając okład co 1 — 2 godzin. Po zdjęciu przysypać pudrem kartoflanym, ryżowym lub „dermatolem“. Można stosować również maść tranową.

Anna Kalińska



Moda

Demonstrujemy naszym miłym Czytelniczkom kilka najnowszych modeli londyńskich: **Rys. 1.** Bluzeczka z białej piki. Spódniczka z wzorzystego materiału suto marszczona. **Rys. 2.** Żakiet o klapach obszytych koronką, dopasowaną w kolorze do materiału. **Rys. 3.** Jasny żakiet zapięty wysoko pod szyję pięcioma dużemi guzikami, przybrany futerkiem lub ciemnym materiałem. **Rys. 4.** Suknia obcisła z samodziału lub z czarnej wełny.

SKLEROZA

P. P. S. W N. S. Z.

Skróty tak dzisiaj modne nie tylko w języku urzędowym, ale i dziennikarskim, nawet literackim, są być może celowe ze względu na oszczędność papieru, jednak nie zawsze udane. Dla przykładu weźmy wzmiankę pod oszałamiającym tytułem: „N. S. Z. używa kul dum-dum", jaka ukazała się w stołecznym „Dzienniku Ludowym" z dnia 17 sierpnia b. r.

Wzmianka brzmi: „Na terenie powiatu biłgorajskiego oddziały W.P., M.O. i U.B. rozbiły bandę N.S.Z. W ręce władz bezpieczeństwa wpadły: 2 RKM, 3PPSze, 1PPS, 14 KB, 4.000 sztuk amunicji, 6 granatów itp.".

Ciekawe, co to za broń, określona jako „1 PPS"? A co to są 3 PPSze? Może to rodzaj żeński od PPS?

★

POTRZEBA CZĘŚCI FACHOWCA

Oto ogłoszenie z „Życia Warszawy" (niedziela 18 sierpnia):

„Poszukuję wspólnika do budki, z częściami fachowca. Wiadomość: Węgierska 22".

Ogłoszenie nie podaje, o jakie części fachowca chodzi. Zainteresowani czytelnicy winni się zwrócić o szczegóły do redakcji pisma.

Od i do Redakcji

P. Woźniak — Piastów k/Warszawy. Należy odróżniać t. zw. „Sklerozę" od błędu korektorskiego.

Halina Firlej — Biskupiec k Olsztyna. List doręczony p. kpt. Ognistemu. Zaznaczamy, że praca kpt. Ognistego jest dość obszerna, w której podkreśla wybitny udział w obronie „Starówki" batalionów: Gozdawy, Łukasińskiego, Kilińskiego i innych, Brak miejsca nie pozwolił nam na drukowanie całości, wybraliśmy tylko pewne fragmenty.

P. W. Wróblewski — Włocławek. Pisze Pan, że „Tydzień" zdobył sobie wielkie uznanie zarówno moje jak i wielu innych osób. Po prostu jest on pierwszym pismem mającym charakter popularny. Ma w sobie „coś" czego brakuje innym, tak licznym pismom. Sądzę, że w dalszym pomyślnym rozwoju zwiększy „Tydzień" objętość i wprowadzi trójbarwną fotografię". Z listu Pana wynika, że nie miał Pan możności czytania dalszych numerów. Redakcja dokłada starań, aby „Tydzień" zarówno pod względem lekturalnym i graficznym stanął na odpowiednim poziomie. Za słowa uznania dziękujemy.

P. Halina Tochtermanowa w Łodzi. Przy okazji wykorzystamy.

P. Mieczysław Karłowicz w Siedlcach pisze, że „Tydzień" najbardziej mi odpowiada ze wszystkich pism periodycznych, jakie ukazały się do tej pory". Za uznanie dziękujemy. Pierwszy numer wysyłamy.

P. G. Gontarz — p-ta Wilga, pow. Garwolin. Za uznanie dziękujemy. Egzemplarze poprzednie wysyłamy.

C. i L. Barszczewscy we Wrocławiu. — Omyłka. Winno być samolot.

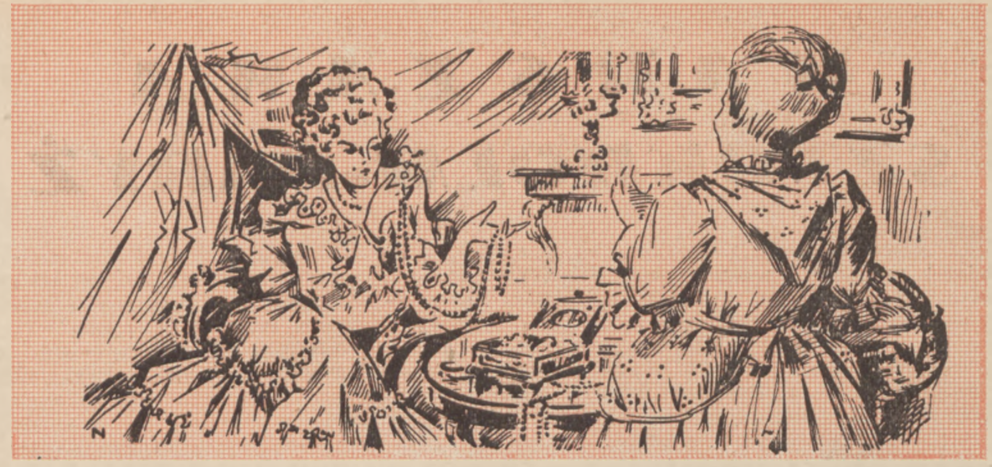
P. Wanda Caspary w Katowicach i P. Ładziński Radosław w Warszawie. Listy przekazaliśmy p. kpt. Ognistemu.

Komitet ekshumacyjny Baonu „Kiliński" w Warszawie. List przekazaliśmy p. kpt. Ognistemu celem nawiązania bezpośredniego kontaktu.

TYDZIEŃ

Od poniedziałku — maleńka chmurka,
Wieczorem zbiera się Wielka Czwórka.
We wtorek rano narada pięciu,
Wieczorem wszyscy są na przyjęciu.
W środę zebrały się podkomisje,
Sekretarz zgłosił swoją dymisję.
W czwartek komisja znowu się zbiera
Wieczorem bankiet, potem opera.
W piątek z powodu regulaminu
Bevin polecieć miał do Londynu.
W sobotę rano narady Rady,
Aż do wieczora trwały narady.
Niedzielę każdy delegat święci,
Tyle donoszą korespondenci.

JAN BRZECHWA



Anegdoty historyczne

KAMIENIE

Do pani Pompadour przyszła pewnego dnia w jakiejś sprawie młynarka z jej majątku. Zawołano ją do buduaru margrabiny w chwili, gdy ta bawiła się swymi klejnotami, śród których błyszczały czarodziejsko diamenty, szmaragdy i rubiny.

— Jakie to piękne! — zawołała zachwycona młynarka: — ileż te cudne kamienie musiały kosztować!

— O tak — odrzekła niedbale margrabina naiwnej wieśniaczce: — fantastyczne sumy.

— Niemały też muszą przynosić dochód pani margrabinie — westchnęła młynarka.

— Dochód? — zdumiała się markiza — żadnego.

— To dziwne. My z mężem mamy tylko dwa kamienie, a przecież utrzymują one całą rodzinę.

— Naprawdę? — Zdumiała się po raz drugi markiza: — cóż to mogą być za kamienie?

— To są dwa nasze młyńskie kamienie— wyjaśniła z uśmiechem wieśniaczka.

BOMBA IDZIE DO GÓRY



Konie spacerują po „paddocku". Można sobie wybrać faworyta. (Fot Film Polski)

Na tle zniszczonej Warszawy wspaniały tor wyścigowy na Służewcu wydaje się bajką z tysiąca i jednej nocy.

Nowoczesne betonowe trybuny przypominają wielki okręt. Na pierwszym piętrze loża rządowa, na drugim publiczność i prasa jeszcze wyżej na wieżyczce — Komisja Techniczna, która uważnie śledzi przez lornety przebieg wyścigów. Każdy członek Komisji ma na oku jednego dżokeja, który musi się po biegu tłumaczyć jeśli zauważono jakąś nieprawidłowość. Wielkie tablice informują amatorów totka, jakie konie startują ile wynosi obciążenie, jacy jadą dżokeje.

Przed biegiem dżokej musi się zważyć.

Konie wychodzą na „poddock": prowadzone przez chłopców stajennych, defilują przed publicznością, która wybiera sobie faworytów.

Dżokeje jadą stępa, czekając na podniesienie bomby — znak, że wyścig może się rozpocząć. Konie instynktownie wyczuwają ten moment i zaczynają zdradzać silne zdenerwowanie.

Przed wojną używane były specjalne „start maszyny", składające się z gumowych lin, które w odpowiedniej chwili szły w górę. Niemcy je zniszczyli i dziś start odbywa się z konieczności bez nich. Konie ustawiają się na torze, a sędzia wypuszcza je, machając chorągiewką, co stanowi znak orientacyjny dla Komisji Technicznej.



Amatorzy „totka" z niecierpliwością czekają na wyniki biegu, które umieszcza się na wielkiej tablicy orientacyjnej

Wreszcie konie ruszają. Na trybunach poruszenie. Już wyszły na prostą i cwałują do celownika. Przed budką celowniczą umieszczony jest na tle białej tablicy pręt żelazny, tworzący imaginacyjną linię, która pozwala dokładnie ustalić, w jakiej kolejności konie przychodzą do mety. Wyniki natychmiast wpisuje się do specjalnej księgi biegów i komunikuje Zarządowi oraz loży prasowej. Po biegu dżokej znów idzie do wagi, dla kontroli czy nie zgubił ciężarków, co spowodowałoby automatycznie wyeliminowanie z konkurencji. Sędzia sygnalizuje, że waga w porządku i wtedy ukazuje się zielona chorągiewka — znak dla grających, że kasy przystępują do obliczania wypłat.

Wypłaty są natychmiast wywieszone na tablicach orientacyjnych, a tymczasem nowe konie wychodzą na paddock.

Korzystamy z wolnej chwili, aby obejrzeć stajnie. Niejeden człowiek życzyłby sobie mieszkać w takich warunkach! System korytarzowy, na drzwiach „karta wizytowa" lokatora z podaniem nazwy i wieku. Ładny biały czysty pokoik wielkości 4 na 4 m. — to stajnia. U góry małe okienko. Podłoga grubo wymoszczona słomą. Konie czują się tu doskonale.

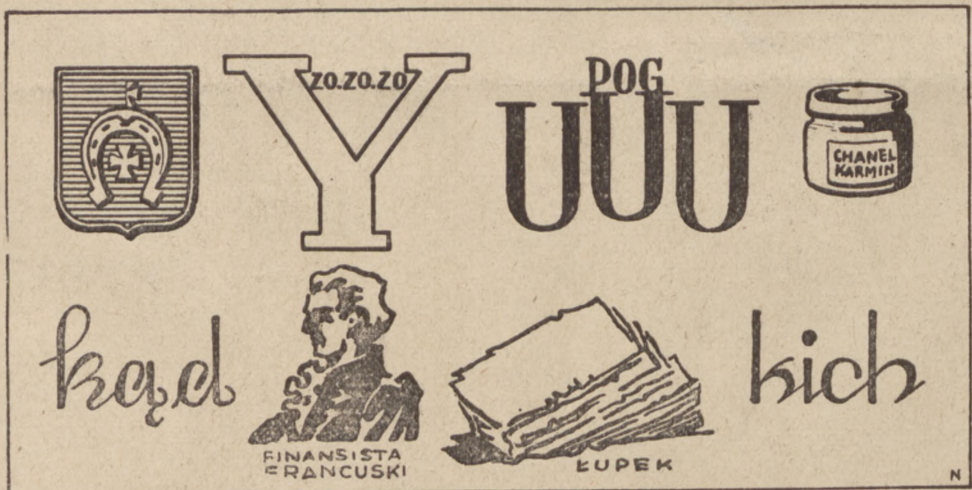
Oglądam stajnię koni angielskich. Rozpoczynają karierę w wieku lat dwóch. Ich koledzy pochodzenia arabskiego o rok później. „Angliki" i „Araby" żyją tu z sobą w idealnej zgodzie.

Towarzystwo Wyścigów Konnych przestało być prywatną imprezą i stało się przedsiębiorstwem nadzorowanym przez państwo. Celem wyścigów jest selekcja materiału końskiego. Najlepsze ogiery i klacze po zejściu z toru oddawane są do Stadnin Państwowych, których zadaniem jest hodowla konia pełnej krwi.

Z dochodów z totalizatora 9 proc. przeznaczone jest na nagrody, 3 proc. idzie dla Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych na wydatki związane z hodowlą koni, 1 proc. otrzymuje Zarząd m. st. Warszawy, a reszta t.j. 87% stanowi wypłatę dla grających. Koszty administracyjne pokrywa się z cen biletów. Przeciętny dzienny obrót totka waha się od 4 do 10 milionów złotych.

Andrzej Wyga

KONKURS „TYGODNIA" NA REBUSY



WARUNKI KONKURSU

W Nr. 6 ogłosiliśmy konkurs na rebusy, które podawane będą w 10 kolejnych numerach.

Dziś zamieszczamy trzeci z kolei rebus.

Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej.

Jako nagrody Redakcja przeznacza:

1 nagrodę — 1500 zł.

1 nagrodę — 1000 zł.

3 nagrody — 500 zł.

10 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

W razie równej ilości zdobytych punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończeniu konkursu do dnia 15 października b.r. do redakcji „Tydzień", Łódź, ulica Pomorska 37/1.

Za rozwiązanie rebusu w Nr 8 przyznane będą 4 punkty.

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień" ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje w dni powszednie od 13 — 14-ej
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Pomorska 37 m. 1, tel. 14-906 ● Redakcja rękopisów nie zwraca ● Prenumerata miesięczna 30.— zł.
Konto P. K. O. Łódź VII Nr 4321 ● Druk: Zakłady Graficzne „Społem" Łódź, ul. Andrzeja 63 ● D. 01760